Nr. 32. Warszawa, dnia 6 Sierpnia (25 Lipca) 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Z PODRÓŻY.

Bismark zakończył już swoją „Rundreise“—podróż okolną, która z początku osłoniona czułością ojcowską, wykluła się nagle jako czysto agitacyjna. Gdyby jeszcze przed pięciu laty ktoś przypuścił, że wszechwładny kanclerz, gardzący głośno opinią publiczną, przedstawicielami prasy, tłumem ulicznym, wszelką wreszcie nieurzędową czernią, pokuma się z nią, będzie do niej przemawiał na ulicach i w bawaryach, dziękował za łaski i zaszczyty — takiego wróżą uznanoby za waryata. A jednakże przez dziwne zrządzenie losu to nieprawdopodobieństwo stało się faktem, faktem tak jaskrawym, jakiego dotychczas nie zapamiętała historya. Trudno o większy skok w polityce. Ów Bismark, który pozostając przy władzy, nie rozumiał i nie dopuszczał innej polityki, prócz rządowej, teraz ją zupełnie odrzuca; on, który posłów, pragnących coś się dowiedzieć o sprawach zagranicznych, odsyłał do „archiwum państwa,“ teraz ciągle wnosi interpelacye; on, który głosy przedstawicieli narodu w parlamencie porównywał do „nieartykułowanych krzyków“ małp, teraz parlamentaryzm uważa za świętą arkę przymierza; on, który zgnębił procesem Arnima za przywłaszczenie sobie kilku listów półurzędowych, teraz na placach publicznych rozgłasza tajemnice polityczne—itd. Gdy Szaweł przedzierzgnął się w Pawła, nie dokonał większej przemiany. W swojem sumieniu — jeśli o niem mówić można — usprawiedliwia on tę nową skórę przywilejem swojej wielkości i zasług. Co wolno Jowiszowi, nie wolno wołowi. Jak dawniej na stanowisku kanclerza wyłączał siebie z pod przykazań etyki i wolę własną uważał za prawo, tak obecnie w roli „męża historycznego,“ „twórcy jedności Niemiec,“ wyłącza się z ograniczeń krępujących ogół śmiertelników. „Gdy dwóch robi to samo— nie jest to samo“ — powiada on według łacińskiego przysłowia. Gdyby kto inny tak przemawiał, znieważał lub ośmieszał rząd, występował przeciw monarsze, powinienby odpokutować swoje zuchwalstwo w kozie; ale ów Jowisz stoi ponad obowiązkami wołów. Więc rozgrzeszył się z nich zupełnie i nie nakładał żadnych wędzideł językowi. Na wszystkich większych stacyach podczas przejazdu — w Dreźnie, Berlinie, Wiedniu, Monachium, Kissingen, Jenie — wylewał potoki gniewu, a każda jego mowa pękała jak bomba, rzucona pod nogi lub ściany obecnego rządu.

Zapisując wszakże te zamachy, zaznaczaliśmy jednocześnie, że Bismark jako polityk „realny,“ wolny od wszelkich złudzeń, rozpoznający trzeźwo wszelką siłę, której złamać nie może, rozumie bardzo dobrze, że tron Hohenzollernów jest niewzruszoną skałą, o którą nawet wraz z całą swoją wielkością rozbije się, jeżeli na nią bezpośrednio uderzy. Najzagorzalsi bismarczycy są przedewszystkiem monarchistami; będą urządzali „fakelcugi“ i składali hołdy bohaterowi narodowemu, ale nie poświęcą mu „ojca i pana kraju.“ Kto inaczej mniemał, był po prostu dzieckiem, niezdolnem pojąć rzeczywistości. Ostatnia mowa w Kissingen do tłumu wielbicieli, przybyłych z blizka i z daleka, świadczy o tem w zupełności. Nie objawia się w niej dawny Bismark, uznający tylko politykę „des Knechts seines Herrn,“ jest to już konstytucyonalista, akcentujący „wolę narodu,“ ale niezapominający o tej ukoronowanej potędze, której poddać się musi. Wywody jego w kilku punktach są dosyć ciekawe.

„Na początku obecnego stulecia — rzekł on — kwitła jeszcze wszechwładnie polityka dynastyczna, a polityka narodowa zaczęła rozwijać się dopiero w ostatnich dwóch pokoleniach. Jeden człowiek nie może tworzyć prądu epoki, nie może nim nawet zawładnąć, może on tylko nawą państwa wedle swego silnego przekonania sterować; jeżeli w tem był szczęśliwy, to przysłużył się swojemu narodowi. Jeżeli nie umie, ginie w niepamięci. Prąd narodu niemieckiego ku zjednoczeniu obudził się, gdy ja przyszedłem na świat, w wojnach z Napoleonem I, ożywił się znowu i zgalwanizował w latach 1830 i 1848, w epoce wstrząśnień u naszego zachodniego sąsiada. Ale nie przeniknął on do ludu, nie zdołano otworzyć mu wolnego strumienia. Jeżeli przypomnimy sobie próby z lat 1830, 1833 i 1848, walkę w Badeńskiem o konstytucyę państwa w r. 1849, musimy przyjść do przekonania, że były one przedwczesne i na szczęście nie doprowadziły do celu. Gdyby prusacy zostali wówczas pobici przez powstańców, nie dałby się wytworzyć z tego żaden stan znośny. W wyrokach bożych leżało, że i w r. 1866 dążności do zjednoczenia nie zwyciężyły; jedność niemiecka nie skrystalizowałaby się tak trwale i zadawalająco, jak dzisiaj. Bóg tak urządził, że wszystkie narody niemieckie uderzyły młotem o kowadło, na którem jedność niemiecka została ukutą. Wyrwaliśmy, że tak powiem, nasze państwo niemieckie i koronę cesarską z paszczy batalionów francuskich. Wojna była konieczną; stosunek nasz do związku niemieckiego, ułożony pod nienawistną opieką Francyi napoleońskiej, mogliśmy rozwiązać tylko mieczem. W tym duchu było zadaniem mojem orężowi niemieckiemu utorować drogę, co mi się też u mojego starego pana udało. Już walka z Austryą ciężko mu padła na serce, a jednak nie można jej było uniknąć. Rzecz naturalna, że 73-letni cesarz nie miał ochoty także do wojny i z Francyą, co jednak dla zdobycia jedności niemieckiej było konieczne. Dopóki Francya posiadała Alzacyę i Strasburg, piastowała w swych rękach siłę, którą jej potrzeba było wytrącić drogą na Paryż. Wielkie to szczęście, że taką wojnę mogliśmy podjąć sami; nie było bowiem wówczas mocarstwa w Europie, któreby patrzało chętnie na narodziny nowej potęgi. Potrzeba było także zażegnać koalicye, wobec których nasza siła militarna okazałaby się za słabą. Wojnę z Francyą należało zwlekać tak długo, dopóki francuzi *nie utracą cierpliwości i sami nam jej nie wypowiedzą*. Jak niezbędna była wojna, tak niezbędna była w początkach pewnego rodzaju dyktatura na wewnątrz. Przysłowie mówi: „Dla usmażenia jajecznicy trzeba rozbić jajko.“ Takich rzeczy nie dokonywa się bez urazy tego lub owego. Niepodobna ocalić wszystkich interesów.

Jest to los każdego ministra i męża stanu, kierującego losami ojczyzny, że nieprzyjaciół znajduje nietylko po za granicami kraju, ale i w jego wnętrzu. Miałem istotnie bardzo dużo jaj do rozbicia, dlatego przeciwnicy moi pozostali mi wiernymi, i zaniepokoiłoby mnie to zaiste, gdybym w ciszy mojego wiejskiego, ziemiańskiego żywota znalazł spokój i obronę przed ludźmi, przeciw którym, jako kanclerz, musiałem prowadzić najtwardszą walkę. Że ci ludzie nienawidzą mnie jeszcze i dzisiaj, cieszy mię bardzo.

My, niemcy, położeni w środku Europy, musimy ściślej trzymać się kupy, niż inne narody, choć nam to trudniej przychodzi. Musimy przestrzegać jedności, inaczej zginiemy. Nie mamy obrony naturalnej; musimy grzbiet opierać o grzbiet, jeżeli wszystkie ofiary przeszłości nie mają pójść na marne. Rozdarcie nasze na stronnictwa jest godnem pożałowania. Wobec zagranicy potrafimy być zjednoczeni, ale w polityce wewnętrznej nam trudniej. Każde ze stronnictw dąży do jedynowładztwa i odmawia ustępstw, a jednak całe życie konstytucyjne polega na ustępstwach. Stronnictwa skrajne nie zdolne są do rządu, nie możemy zaprowadzić u siebie ani katolickiej, ani protestanckiej teokracyi. Do trwałych i spokojnych rządów prowadzi tylko zrzeczenie się skrajnych opinij, a przyswojenie sobie przeciętnych poglądów wykształconych niemców. Mówię wyraźnie: „wykształconych niemców,“ nie możemy bowiem być rządzeni od dołu, a werbowanie głosów u mas jest zjawiskiem czasu, godnem pożałowania.

Już jako minister usiłowałem przez stopienie stronnictw pośrednich zapobiedz złemu. Osiągnięta przez kartel zgoda pomiędzy zachowawcami i narodowo-liberałami nie dała się utrwalić. Wszystkich więc, którym jedność Niemiec leży na sercu, upominam, aby starali się różnice zdań pomiędzy frakcyami patryotycznemi wyrównywać, ażeby parlament rzeszy mógł stać się istotnem ogniskiem jedności niemieckiej. Powaga jego da się podnieść tylko przez najściślejsze stopienie się z nim obywateli państwa, przyczem myślę także o najpierwszym jego obywatelu (?).

Od polityki, którą przez lat 40 kierowałem, nie mogę się oderwać i nie uczynię tego; chociaż mi zamykają usta, nie zamknę ich. Przeciwnicy moi znajdują, że lepiej wydawałbym się w perspektywie historyi i potępiają najsurowiej moją odrazę do milczenia, przyczem półurzędowcy są dla mnie najsurowsi. Tego tylko nie rozumiem: jeżeli uważają mnie za złego człowieka, nazajutrz już po ustąpieniu z mego urzędu, to musi część trucizny, sączonej przeciw mnie, wsiąknąć także w dzieło, którego dokonałem, odprysnąć na cesarza i państwo. Jeżeli twórcę tych zdobyczy traktują jak głupca, który nie wie, czego chce, to z tem zelżeniem twórcy musi zelżonem się widzieć i dzieło samo. Ciężki błąd! Pragnąłbym uroczystość dzisiejszą zakończyć okrzykiem na *cześć cesarza* i państwa, ale państwa w jego całości, w związku z książętami rzeszy, wolnemi miastami i parlamentem.“

Był to pierwszy i jedyny toast, wzniesiony na cześć cesarza przez Bismarka podczas całej jego podróży. Niepodobna w tej mowie nie dostrzedz złagodzonego tonu i chęci utrzymania się w granicach dbałego o dobro państwa patryoty. Wydziera się z niej ciągle stały, prawie maniacki zgrzyt w kierunku „nieprzyjaciół,“ ale strzały przeciwko rządowi leżą w sajdaku. Bismark się umiarkował — co było do przewidzenia.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przeciwko niektórym dokumentom materyału dowodowego w procesie zabójców ministra bulgarskiego Belczewa wystąpił z niezwykłą energią *Journal de St. Petersbourg*. „Zaledwie rozpoczęło się sądzenie sprawy, gdy różne gazety zagraniczne, a w ich liczbie i te, które uważają się za poważne, jak gdyby za danym sygnałem rozpoczęły wymysły pod adresem Rosyi. Co do nas, nie odpowiadamy zwykle na systematyczne oszczerstwa, ograniczając się na tem, że jeżeli zdarzy się sposobność, zaznaczamy sztuczki, splamione dowiedzionem oszustwem. Taka właśnie sposobność zdarza się i dzisiaj. Prawdopodobnie ani *National Ztng*, ani nawet *N. fr. Presse* nie przyjęłyby widocznie podrobionych dokumentów, gdyby dokumenty te były im nadesłane przez agencye, dostarczające wiadomości pewnego gatunku o sprawach wschodnich i wyzyskujące wraz z prasą łatwowierność publiczności. Teraz jednak, kiedy to dzieło falsyfikatorów znalazło w Sofii swoją sankcyę, owe gazety otwierają mu jaknajszerzej swoje łamy. I z zupełnie dobrą miną opowiadają one światu, jakoby istniało rozporządzenie rządu ruskiego, upoważniające do uważania ks. Koburskiego jako stojącego po za prawem! Ta zabawna instrukcya miała być wysłana w urzędowej depeszy cyfrowanej, która cytowana jest wraz z innymi „dokumentami,“ sfabrykowanymi w ten sam sposób i traktowanymi zupełnie seryo przez sędziów sofijskich. Podobną mistyfikacyę możnaby uważać wprost za żart, gdyby nie chodziło tutaj o wyroki śmierci, o sąd, opierający swe postanowienia na takich dokumentach, o lud wreszcie, znajdujący się pod władzą podobnego rządu, depczącego bezkarnie prawo i traktaty. Co się tyczy gazet, robiących sobie z tego narzędzie dla własnych celów, zasługują one na to, aby im przypomniano o sumienności i uczciwości innego dziennika. Przykład gazety *Times* i innych poważnych organów prasy, nie zbyt znów dobrze usposobionych względem Rosyi, które jednak stwierdzają godne politowania niepowodzenie wszelkich usiłowań rządców sofiskich, aby złożyć na Rosyę odpowiedzialność za stan rzeczy w Bulgaryi, powinienby przedewszystkiem skłonić wymienione powyżej gazety do pewnej ostrożności i większego rozsądku.“

Podróż Bismarka, a raczej jego mowy agitacyjne, osiągnęły pewien skutek, który po części jest ich następstwem, a po części wynikiem niezręczności Capriviego. Chociaż ten ostatni najlepiej jeszcze trzyma się w walce, gdy milczy, bo gdy zacznie polemizować z przeciwnikiem, zawsze popełni jakiś błąd taktyczny, i chociaż po niefortunnem ogłoszeniu rozporządzeń przeciwko Bismarkowi znowu milczy, ściąga na siebie zarzuty z rozmaitych stron. Wielokrotnie zaznaczyliśmy, że niemcy, przyzwyczajeni do efektownych manewrów Bismarka, nie znajdują upodobania w spokoju Capriviego. Oskarżają go wciąż o chwiejność, bezczynność, niedołęztwo i „dogadzanie sąsiadom.“ Kilka gazet domaga się już nawet, ażeby ustąpił i nie przeszkadzał pojednaniu się monarchy z „największym mężem stulecia.“

Rząd niemiecki odstąpił od myśli urządzenia wystawy powszechnej w Berlinie na końcu obecnego wieku i pozostawił tę przyjemność francuzom. Podobno uczynił to z powodu odmowy kilku państw związkowych i opinii przemysłowców.

---

11)

ARNE GARBORG.

ZNUŻONE DUSZE.

(Przekład z upoważnienia autora).

A z drugiej strony... Pastor Löchen. Cały kupiec przeciw tej jednej biednej dziewczynie.

Komiczna konstelacya: bandyta Gabryel Gram i nawrócony zbójca... Lecz w gruncie rzeczy pastor nie jest głupi, a jego świętobliwość, jego duszpasterstwo mają w sobie coś, co uspakaja znużone nerwy.

Co prawda, nie mogę się powstrzymać od podrażnienia go, cytuję mu Tołstoja itp. Lecz rabulista zamarł we mnie prawie zupełnie. Nie mam ochoty. Przecież to stara przędza kłamstwa; każdy podrostek przejrzy ją; krytyka w tym względzie tak jest łatwa; żarty — takie banalne, natomiast odkrywam, że wspomniana przędza kłamstw może być piękna; a któżby śmiał powstać przeciw czarnoksięzkiej opowieści, przeciwko komedyi ze świata czarów? Tylko uczniacy z wyższych klas oponują: ale przecież niema żadnych czarodziejek!...

Co jest piękne, niechaj sobie będzie przędzą kłamstw (*Musi* być przędzą kłamstw? Prawda jest brzydka;) a jednak będzie uprawnione.

* * *

Matylda upada coraz bardziej. Wie, jaką wartość przywiązuję do złudzenia; ale kiedy się czasem zapomni, staje się niemożliwą.

Zresztą dziś wieczorem nie z tego powodu uciekłem od niej. Dostałem nagle ataku sentymentalizmu i czułem się zniewolony zapytać o „Fanny.“

— Wiesz, ta mała, którą widywałem tu czasami, córeczka twojej gospodyni?

— Ach, ta !— brzmiała odpowiedź; —puszcza się na własny rachunek.

— Jak? co? — na własny rachunek!

— Tak; wielu panów lubi przecież takie młode?

Oniemiałem. Ogarnął mnie jakiś rodzaj oburzenia, czy też niechęci. Matylda zaczęła mówić wcale nie ciekawie; ażeby więc przerwać jej gadanie, zapytałem, co też rodzice myślą o postępowaniu córki.

— Co? — odparł Matylda — będą się cieszyli, że i Fanny coś zarabia.

Potem zaśmiała się, rzuciła mi się w objęcia, pogłaskała mnie i rzekła:

— Nie każdy jest taki dobry, jak ty, mój skarbie!

Położyłem trochę pieniędzy na stole i zniknąłem.

...Tak, tak, tak, co na to powiedzieć? Tak jest; przeciwko temu nic się nie da zrobić. Chyba, że chce się „przewrócić społeczeństwo“ na sposób Jonatana. Lecz i to jutro wieczorem nie nastąpi. Tłumy niech zejdą na psa, byleby kilka osób utrzymało się na wierzchu. Raz na zawsze trzeba nam wyższej warstwy, lepszego towarzystwa; lecz żadna lepsza publiczność istnieć nie może bez dam, żadna zaś dama — bez pewnej czystości istnieć nie może; więc musi istnieć zbawcza armia półświatkowa, ta zaś armia musi się przecież skądś rekrutować. Jeżeli pragnie się celu, trzeba pragnąć i środków. Pewnie byłoby dobrze, gdyby dzieci z tego wyłączono; dziecko — to, bądźcobądź, jeszcze *możliwość*. Lecz — córki — takich ludzi... to chyba najnaturalniejsza dla nich droga. Trochę wcześniej, trochę później...

W danym wypadku działa na mnie to oczywiście, że ta mała przypadkowo... przypadkowo nosi to imię. Gdyby zwała się Mathea albo Indyaną...

— Biedne dziecko!

Tak, tak. No i cóż przyszło mojej Fanny z tego, że kroczyła drogą cnoty? Jest dziś człowiek, o którego zdanie dba, i temu człowiekowi wystarcza parę dwuznacznych uwag, wygłoszonych przez jakieś obojętne indywiduum w kawiarni — żeby oznaczyć

Cesarz Wilhelm, powróciwszy ze swojej wycieczki skandynawskiej, pojechał natychmiast do Anglii. Dzienniki doniosły, że przed przybyciem do babki zapowiedział dłuższą naradę z Salisburym i Gladstonem, rozumie się, nie w przedmiocie turystycznym. Jest to rzeczą naturalną, że on z jednym lub obydwoma pomówi o kwestyach bieżących, wątpimy wszakże, ażeby ich obstalowywał sobie i ażeby o tym zamiarze zwierzył się reporterom dziennikarskim.

Zmęczony i trochę poturbowany w walkach wyborczych Gladstone odpoczywa — a jak twierdzą niektórzy—choruje. W każdym razie nie odzywa się. Za to wiele mówią irlandczycy, którzy mu grożą, że jeżeli natychmiast po objęciu władzy nie wniesie do Izby bilu o samorządzie Irlandyi, może się pożegnać z ich przymierzem, a więc i z większością w parlamencie. „Wielki starzec“ wie o tem dawno, niepotrzebnie mu więc przypominają.

Policya francuska wpadła na świeże tropy anarchistów, których bądź ujęła, bądź śledzi energicznie. Złapano paru, którzy przyznali się do zamiaru wysadzenia w powietrze Izby deputowanych itd. Już to ci panowie skromnością nigdy nie zgrzeszą, chyba o tyle tylko, że dotąd nie próbowali jeszcze wysadzić w powietrze kuli ziemskiej.

Sułtan marokański poniosł klęskę w walce z rokoszanami, a skutkiem tego wewnętrzny zamęt spotęgował się niepomiernie.

BADANIA NAUKOWE.

POMYSŁY FALBA
W ŚWIETLE KRYTYKI NAUKOWEJ.

Trzęsienia ziemi, które w kilku sekundach zamieniają w gruzy dzieła wiekowej pracy człowieka, które zadają śmierć tylu ludziom naraz, jak żadne najbardziej mordercze narzędzie wojenne; które niejako wyrywają człowiekowi z pod nóg jedyną trwałą podstawę, musiały od najdawniejszych czasów wywierać potężne wrażenie na umysł człowieka i wywołać potrzebę dociekania przyczyny. Umysły niewykształcone przypisywały, i dotąd przypisują, te zjawiska bóstwom lub potworom, lecz już w starożytności umysły wyższe świata helleńskiego wzniosły się po nad ten pierwotny, mitologiczny stan przyczynowości nadnaturalnej do przyczynowości naturalnej.

Pitagoras upatrywał taką przyczynę w ogniu centralnym, Arystoteles w powietrzu i parach ściśnionych w jaskiniach podziemnych, inni — w podziemnej wodzie, wypłókującej jaskinie, których stropy ulegają zapadaniu; to ostatnie objaśnienie utrzymało się następnie u arabów (Kazwini), a po części i do ostatnich czasów. Na początku naszego stulecia Parrot twierdził, że wskutek rozkładu wielkich mas siarku żelaza w głębi ziemi powstać może tyle gazów, iż nacisk ich na górne warstwy wywołuje trzęsienia ziemi. Humboldt zapatrywał się na trzęsienie ziemi jako na reakcyę ognisto-płynnego wnętrza ziemi na jej twardą skorupę. Pöppig upatrywał związek między trzęsieniami ziemi i zmianami atmosferycznemi. Mallet (1850) i Karl opierali się na tak zwanym stanie sferoidalnym płynów: wiadomo, że woda nalana na rozpaloną do czerwoności blachę, przyjmuje kształ kulisty i zachowuje temperaturę niższą od punktu wrzenia; dopiero gdy temperatura blachy obniży się, woda gwałtownie zamienia się w parę (doświadczenie Leidenfrosta). Okolicznoś to sprowadza nieraz eksplozye kotłów parowych w chwili, gdy temperatura ich, poprzednio bardzo wysoka, zacznie się obniżać. Analogiczny eksperyment na wielką skalę wyobrażali sobie pomienieni uczeni we wnętrzu ziemi: wielkie masy wody, spływając po warstwach o wysokiej temperaturze, przechodzą w stan sferoidalny, a po zniżeniu temperatury podstawy zamieniają się gwałtownie w parę i wywołują trzęsienie ziemi. W nowszych czasach Pfaff postawił hipotezę, iż ognisto-płynne masy wnętrza ziemi wskutek ciśnienia dostają się do podziemnych rezerwoarów wody, leżących blizko powierzchni i przez wytworzenie pary sprowadzają trzęsienie ziemi. Rudolf Falb, którego poglądami mamy się tu właśnie bliżej zająć *), przypisuje trzęsienia ziemi podziemnym wybuchom wulkanicznym, popieranym przez przyciągające siły słońca i księżyca.

*) Broszura dr. Chr. Tarnuzzera (*Falb und die Erdbeben*, 1892), na której się tu opieramy, odznacza się wielką bezstronnością sądu: autor wyraża się z uznaniem o matematyczno-astronomicznych wiadomościach Falba, ceni w nim wysoko sympatyczny zapał człowieka zamiłowanego do swej idei, ale zarazem wykazuje wielkie braki w geologicznem i meteorologicznem wykształceniu Falba oraz odmawia wszelkiej naukowej wartości jego głośnym, rozdymanym przez reporteryę proroctwom.

Najpoważniejsi jednak geologowie obecnych czasów przyszli do przekonania, że błędną jest rzeczą przypisywać wszystkie trzęsienia ziemi wyłącznie jednej jakiejś przyczynie: jak w wielu zjawiskach, tak i tutaj jednakie skutki mogą być wywołane przez przyczyny różne. Podobnie jak sztuczne wstrząśnienia na małą skalę, możemy wywołać bądź przez uderzenie wielkiego młota, bądź toczenie się ciężkiego wozu, bądź przez wybuch prochu itp., tak samo i naturalne wstrząśnienia, nawiedzające nasz glob, mogą, a nawet muszą pochodzić z przyczyn rozmaitych.

Tak więc dzisiejsza nauka rozróżnia genetycznie następujące rodzaje trzęsień ziemi: zapadowe, wulkaniczne i tektoniczne.

1) *Trzęsienia zapadowe.* Ten rodzaj trzęsień występuje w krajach obfitujących w jaskinie, a więc tam, gdzie znajdują się znaczne warstwy skał, ulegających łatwo wypłókaniu przez wodę, jak wapień, sól, gips. W Szwajcaryi np. trzęsienia ziemi zapadowe nawiedzają najczęściej okolice wapiennej Jury oraz kanton Wallis, gdzie według Volgera 20 źródeł wypłókuje podziemne pokłady gipsu. Trzęsienia takie występują zawsze na małym obszarze, są zjawiskiem lokalnem; nie ma żadnej podstawy przypisywać tej przyczynie trzęsienia ziemi na wielką skalę, jak np. lizbońskie (1755) lub liguryjskie (1887); a jakkolwiek prawdę tę uznali wszyscy geologowie czasów nowszych (wyjąwszy Volgera i Mohra), to jednak Falb zwraca się przeciw teoryi zapadowej, jak gdyby ona była ogólnie przyjętą, nie uznaje nawet rzeczywiście wydarzających się lokalnych trzęsień zapadowych, lecz z obecności gipsu wnioskuje o działalności wulkanicznej: pokłady gipsu mają zdradzać dawne ściślejsze związki danych miejsc z gorącem wnętrzem ziemi, tak, iż występujące tam trzęsienia ziemi muszą być wulkaniczne, bo dla Falba nie mogą naturalnie być inne. Że zamiana wapienia na gips odbywa się nieraz, jak twierdzi Falb, pod wpływem siarkowodoru, to kwestyi nie ulega, ale stąd jeszcze nie można wyprowadzać w całej ogólności wniosku o istnieniu wulkanicznego ogniska, z którego siarkowodór miał się wywiązywać. pokłady gipsu powstają często na drodze czysto neptunicznej: jakąż bo podstawę do wniosku o wulkanizmie mogą dać pokła-

---

ją jako „femme soutenue.“ Więc plwam sobie w tę moją przeklętą twarz.

XXIII.

— Tak, wy mężowie kościoła macie odpowiedź na wszystko i wybiegi na wszystko. Lecz skoro zważę, że najzdolniejsze głowy ludzkości w ciągu 17-tu czy też 18-tu wieków pracowały nad ukształtowaniem tego systemu, nie dziwię się. Przebiegły to system.

Pastor Löcken uśmiechnął się zcicha.

— Lecz czy to nie dziwne, że najzdolniejsze głowy ludzkości w ciągu 17-tu czy też 18-tu wieków chciały siedzieć nad tym, jak ty go nazywasz, systemem, chciały nad nim pracować?

— Budyzm — broniłem się — jest również bardzo starą religią, którą się przez długi czas zajmowały najzdolniejsze umysły.

— Dużo jest prawdy w budyzmie — odparł wymijająco. Lecz dziwna, że z punktu widzenia czysto-historycznego budystyczna Azya oddawna znajduje się w stanie zastoju, podczas gdy chrześciańska Europa wciąż kroczyła naprzód.

— Europa kroczyła naprzód podówczas, kiedy kościół nad umysłami nie miał władzy.

— Tak, tak kościół tu i owdzie utraca władzę, co zazwyczaj własną jego jest winą. Lecz zważ tylko, jak po takich wielkich okresach upadku ludzie wracają do kościoła — co wskazuje, że on jest w stanie rywalizować z postępem. Nadto jest to jeszcze dowodem, iż ludzie, wznosząc się najwyżej, ponad religię nigdy się nie wzniosą. Zauważają, że nawet teraz — po tym ostatnim najcięższym czasie upadku — w wielkich krajach kulturalnych zaczyna się budzić kierunek duchowy więcej religijny — i to jest naturalne. W miarę tego jak rozwój postępuje, wzmaga się i to wszystko, co zowiemy niechęcią życiową, znużeniem życiowem, zwątpieniem. A na tę chorobę, która ze wszystkich jest najcięższa i najstraszniejsza — dotychczas znaleziono jednego tylko lekarza. mianowicie tego, który rzekł i wyrzec mógł: „Chodźcie tu do mnie, wy wszyscy, którzy jesteście znużeni i obarczeni! U mnie znajdziecie spokój!“

— Spokój! Wspaniałe, ponętne słowo! Urwałem rozmowę, prowadzoną na wpół żartem i powiedziałem:

— Tja, kto wie, właściwie pojmuję to bardzo dobrze!..

* * *

Dla zabawki zacząłem naciągać Jerzego Jonatana na ową „religijną reakcyę.“ Wzruszył ramionami.

— *All right!* — powiedział. Ludzie zaczynają zajmować się tego rodzaju rzeczami: różdżki czarodziejskie, hypnotyzm, wywoływanie duchów itd. Z poza kilku prześcieradeł wywołują Marka Tulliusza Cicerona i ten przemawia po angielsku; Juliusz Cezar uderza o stół i opowiada Pawłowi Pedersenowi, że brat tegoż, Lars Pedersen, zmarł w Ameryce na cholerę. I wykochane damy i szykowni mleczo-pacierzowcy siedzą i słuchają z przejęciem i szepczą pod nosem z zachwytem: *Enfin, voilà la vérité, la grande renaissance!* Stara kultura mieszczańska zaczyna dziecinnieć, widzi pan. To początek — końca. Pito w Paryżu i Londynie póty, aż się zapito; a teraz naturalnie posyła się po księdza. Olej, maszczenie, kadzidła i mortina — dla chorych niezbędne to rzeczy. Kiedy stara Roma zaczęła się walić, ludzie biegli też szukać cudotwórców i mysteryów. A kiedy cały świat wpadnie w sieci tego nonsensu i zapomni o swoich sprawach ziemskich, natenczas spadną hunnowie i germanowie i zmiotą tę całą zgniliznę — wraz z bogami i widmami. *All right.*

— No, tak źle nie będzie — odparłem — za czasów romantyzmu mieliśmy podobne przejście, a jednak kultura istnieje dotąd. Sęk tkwi w tem, że światu zaczynają się już przykrzyć te wieczne siły końskie.

Jerzy Jonatan utkwił we mnie wzrok zimny, badawczy, wzrok, który mnie rozśmieszył.

dy gipsu i trzęsienia ziemi w kantonie Wallis?

2) *Trzęsienia wulkaniczne* mają zupełnie inny charakter od poprzednich. Występują one w okolicach wulkanicznych, poprzedzając wybuch; punktem środkowym, z którego trzęsienia te wychodzą, jest stary lub nowopowstający wulkan. Przyczyną tutaj jest prężność pary, podobnie jak przy poruszaniu się przykrywki czajnika. Ponieważ trzęsienia te wychodzą z jednego punktu środkowego promienisto, więc nazwano je też centralnemi; mają one charakter eksplozyi i nigdy nie rozprzestrzeniają się na znaczne obszary. Takiem wulkanicznem trzęsieniem było trzęsienie na wyspie Ischia 1883 r.; wiadomo, że wystąpiło ono gwałtownie, ale na bardzo ograniczonym obszarze.

Dziełem Falba jest właśnie uogólnienie jaknajrozleglejsze tej lokalnej przyczyny, uznanie jej za przyczynę wszystkich trzęsień ziemi; teorya jego jest następująca: wkroczenia gazów i law w szczeliny przynajmniej 10 mil grubej skorupy ziemskiej, wywołane przez stygnięcie ziemi a sprowadzone do peryodyczności przez przyciąganie słońca i księżyca, wstrząsają przez eksplozye wyżej leżące warstwy (trzęsienie ziemi); eksplozye te w zetknięciu z wodą, gdzie się takowa znajduje potęgują się tak, iż dosięgają powierzchni ziemi (wybuchy wulkanów).

Teoryę swą zbudował Falb w sześciu miesiącach. „Do 7 lutego 1868 r., mówi on, nie zajmowałem się bynajmniej trzęsieniami ziemi, ani wogóle geologią, gdyż astronomia pochłaniała mnie całkowicie. Ale gdy z wielkiem wezbraniem morza 7 lutego 1868 r. wystąpiły liczne trzęsienia ziemi, uwaga moja została zwrócona w tę stronę i zaraz nabrałem przekonania o teoretycznym związku obu zjawisk, co mnie spowodowało do dalszych badań w tym kierunku. Już na początku marca zdołałem na tyle zoryentować się śród faktów z wielu poprzednich lat, że mogłem wskazać dzień 19 sierpnia 1868 r.“ Falb przepowiedział mianowicie zjawisko na ten dzień.

Od tego czasu datuje prorocza działalność Falba na punkcie trzęsień ziemi, wybuchów wulkanicznych, orkanów i eksplozyi gazów w kopalniach. Dla sprawdzenia swej teoryi Falb, wyczytawszy w 1874 r., że Etna od maja tego roku wstąpiła w niezwykłą fazę działalności, przedsięwziął podróż do Sycylii i po porównaniu swej teoryi z wybuchami i trzęsieniami czasów dawniejszych przepowiedział wybuch Etny na koniec sierpnia. Jak Stanley z polecenia „New-York Heralda,“ tak Falb jeździł z polecenia „Neue Freie Presse;“ teorya jego, jak powiada, wytrzymała tu próbę ogniową: 29 sierpnia 1874 Etna zaczęła wybuchać.

Falb wyłożył swą teoryę w trzech książkach: „Grundzüge zu einer Theorie der Erdbeben und Vulkanausbrüche“ (1869); „Gedanken und Studien über den Vulkanismus“ (1875) i „Von den Umwälzungen im Weltall“ (1881). Książki te znalazły wielkie rozpowszechnienie, co dowodzi niezwykłego zainteresowania się publiczności i jej wiary w teoryę Falba. Dość rzucić okiem na prasę codzienną niemiecką, aby się przekonać, że w popularnej literaturze o trzęsieniach ziemi i wulkanizmie Falb panuje niepodzielnie, tygodniki pomieszczają jego portrety, zapowiadają z dumą jego artykuły, liczne dzienniki ogłaszają przepowiedziane przez proroka „krytyczne dni.“ Trzeba przyznać, że pisma Falba odznaczają się mistrzowstwem popularnego przedstawienia rzeczy oraz siłą przekonania i patetycznością, co nadaje im wielki powab, porywający umysły niedość krytyczne. Do swych przeciwników przemawia on często mową iście olimpijską: „Przyroda dała mi, powiada on, dojrzeć śród licznych sprzeczności niewzruszone prawo, którego ani lekceważenie, ani zawiść nie zdołają zetrzeć z kamiennych tablic Kosmosu.“ Przytem nie zadaje sobie trudu dyskusyi, odparcia zarzutów stawianych mu ze strony uczonych. To też obecnie nie ma ani jednego ze znakomitych geologów lub meteorologów, któryby przyjął teoryę Falba, jakkolwiek ten ostatni twierdzi, że przeciwnikami jego są tylko niematematycy lub tacy matematycy, którzy na miejsce zdrowej logiki stawiają scholastyczną grę słów. Potępiając tak swych przeciwników geologów, Falb nie wie nawet, jaki jest dzisiejszy stan geologicznej wiedzy: zdaje mu się mianowicie, że dzisiejsi geologowie stoją wciąż na stanowisku teoryi podniesień Elie de Beaumonta i Leopolda Bucha; widać to mianowicie z następującego wyrzeczenia Falba: „Jest to ustalony pogląd geologów, że wysokie łańcuchy gór powstały przez podniesienie się mas skalnych z podziemnych szczelin.“

Lecz wróćmy do wulkanów i trzęsień wulkanicznych. Otóż objaśnienie wybuchów dane przez Falba stoi w sprzeczności z obecną nauką geologiczną i z faktami. Według Falba para wydziela się z lawy dopiero po wybuchu, tymczasem wszyscy najznakomitsi geologowie twierdzą, że wybuchy są rezultatem ciśnienia pary wywartego na lawę. Prof. Hoernes między innymi na podstawie odpowiednich zjawisk na wyspie Hawai obalił w zupełności falbowską teoryę wybuchów. Według teoryi Falba trzęsienia ziemi w pobliżu wulkanu muszą następować *po* nie *przed* wybuchem, tymczasem jest to fakt wielokrotnie stwierdzony, że wielkie wybuchy są poprzedzane przez trzęsienie ziemi: tak było przy wybuchu Wezuwjusza 1822 r., podczas powstania wulkanu Monte Nuovo pod Neapolem w 1538 r., podczas wybuchu wulkanu Jorullo w Meksyku 1759 r. itd.

(D. n.).

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

IMPRESYONIŚCI.

Paweł Desjardins i Melchior Vogüé.

Wykonać obieg całkowity myśli ludzkiej i w końcu jego znaleźć tradycyę moralną, od której zdawało się, iż się oddalono, nie jest to zjawisko ani nowe, ani rzadkie — wymaga tylko pewnego ustroju psychologicznego. Ale w jaki sposób umysły chłodne umieją wmówić w siebie konieczność ekstazy religijno-moralnej, do której zrosztą w żaden sposób wznieść się nie mogą, jest to dla nas zagadka, a raczej paradoks „ducha sprzeczności,“ spotykanego zwykle u poetów, paradoks, który kazał Byronowi pozować na rozpustnika przy niewątpliwej stosunkowo „czystości obyczajów,“ a Rousseau'wi — chwalić się tem, iż oddawał do domu podrzutków dzieci, których nigdy nie posiadał *) i któreby niewątpliwie namiętnie kochał. W takim wypadku znajdują się właśnie Desjardins i de Vogüé. Piotrem Pustelnikiem tej dziwnej krucyaty, wszczętej przez nawróconych dekadentów, jest Desjardins, uważający siebie tylko za ucz-

*) Nowsze badania dowiodły, iż Rousseau dzięki swej chorobie nie mógł mieć dzieci, i że kalumnia, którą na siebie rzucił, była też po części fanfaronadą wobec ironicznych dam.

— Ciekawy też jestem, czy my „wolnomyślni“ znieślibyśmy wolnomyślnych obok nas?

* * *

— Czy czytałeś pan „Wierzycieli“ Strindberga? — zapytała mnie dzisiaj panna Berner. Siedzieliśmy przy kawie sami, na werandzie u pastora Löckena. Podoba mi się nadzwyczajnie tytuł sztuki — mówiła dalej — mógłby z pewnością służyć za napis dla niejednego małżeństwa z miłości. Pytasz pan, skąd czerpałam poglądy na ten przedmiot; z różnych stron. Pan wiesz: jako kobieta niezamężna przebywałam czasowo wśród różnych rodzin i czyniłam takie staro-panieńskie spostrzeżenia (Uśmiech). Ma się zamężne przyjaciółki, trochę się widzi, trochę się słyszy. Mam np. przyjaciółkę, mąż jej jest w niej strasznie zakochany, a i ona właściwie poważa go; lecz dobrze pojmuję, jak ona cierpi. On, co prawda, jest wierzycielem bardzo względnym i wcale nie natrętnym; lecz ona mimo to czuje wiecznie badawczo na sobie utkwione, zakochane oczy, co ją poprostu denerwuje. Wyobrażam sobie doskonale, jak to musi być, kiedy czuje się czyhającą wokoło siebie wiecznie niemą pretensyę. W domu takim panuje jakaś odrębna, przykra atmosfera, a kto oddychał nią przez parę lat, tego ogarnia jakiś rodzaj lęku na myśl o takich stadłach z miłości.“

Siedziałem i myślałem o moim przyjacielu, muzyku Brunie i jego kamizelce bez guzików.

— Lecz miłość przecież ma swoje prawa i cóż tu właściwie począć?

— Miłość też z praw swoich korzysta — uśmiechnęła się dyskretnie. — Nie widzę tylko potrzeby zużycia ich w małżeństwie.

— To pięknie brzmi — rzekłem; — lecz w takim razie musielibyśmy mieć więcej swobody... tj. kobieta musiałaby jej mieć więcej.

— Kobieta ma tyle swobody, ile jej potrzebuje — jeżeli tylko posiada dosyć taktu w używaniu wolności — odparła panna Berner.— Zdaje mi się zresztą, że pokraśniała i śpiesznie skończyła: — Dla kobiety dość, jeżeli zdarzenie młodości wiernie w sercu przechowa; w tym razie będzie miała coś, czem żyć będzie, gdyby nawet po trzykroć była zamężną.

W tej chwili zaczerwieniła się z pewnością; wzięła do ręki robotę, żeby się nad nią dostatecznie pochylić.

— Staje się pani wprost romantyczną! Kochałaś pani kiedy... tak w większym stylu? I nie jesteś rozgoryczona tem, że ożenił się z inną?

Przecząco potrząsnęła głową.

— Owszem, teraz cieszy mnie to — rzekła. Gdybym postąpiła, jak Emilia, byłby dziś zużytym, mrukliwym małżonkiem, a mnie niby już nic pozostało. Ja zaś widzę go dziś takim, jakim był wtedy, i będzie (uśmiecha się) moim, aż do śmierci.

— Nawet, jeżeli pani za mąż wyjdziesz?

— Więc co?

— A mąż pani —

Uśmiech.

— W każdym razie... nie miałby we mnie wierzycielki.

— Lecz sam mógłby przecież zostać wierzycielem pani *),

— No, wie pan... w takim razie, nie wyszłabym za niego.

— Ach prawda... związek rozumowy!

— Tak — przedewszystkiem rozum. No, narazie nieina niebezpieczeństwa. Czy można panu służyć jeszcze kawą?

— Dziękuję, nie.

— A więc troszkę likieru? Trzeba pana przecież za cierpliwość nagrodzić.

— Czy sądzisz pani, żeś mnie znudziła? Zbytek skromności.

— Lepiej by było, gdybyś się pani trochę mnie wystrzegała. Pewnego pięknego dnia mogę przyjść i prosić o twoją rękę.

*) „Wierzyciele“ — sztuka Augusta Strindberga, osnuta na tej myśli, że kobieta nietylko żyje z pieniędzy męża, ale i z jego myśli i uczuć; on jest jej wierzycielem — we wszystkiem.

nia de Vogüégo, ale jest to uczeń, który w opracowaniu doktryny prześcignął mistrza. Punktem wyjścia Desjardinsa jest pesymizm, a raczej sceptycyzm w duchu Pascala: powie wam np., iż wielkość człowieka polega na tem, iż czuje się małym, a dobroć — iż czuje się złym. Doda, że kto nie zna goryczy samopotępienia i pokory, nie jest człowiekiem. Szczęściem, cnoty te są „do zdobycia" i tragiczne mroki zwątpienia, w którem ugrzązł nasz autor, rozjaśniają się błyskami nadziei „życia nowego." Rozpoczyna się ono od samopotępienia i wyrzeczenia się samego siebie. Trzeba, żeby człowiek wyszedł ze swego „ja" i żył w innych. Ale w jaki sposób wypędzić go z tej nieprzystępnej fortecy? Trzeba go przekonać, iż jedyne prawdziwe szczęście polega na wyrzeczeniu się szczęścia. Tak wilka wywabiają z lasu kwikiem dręczonego prosięcia, a nasz moralista ani się spostrzega, iż używa broni, którą chciałby złamać w ręku swych przeciwników.

Do analizy idei szczęścia Desjardins wraca bez ustanku. Szczęście osobiste jest— powiada — od wieku (?) jedyną pobudką postępowania ludzkiego. A gdyby to dążenie było z gruntu fałszywe i sprzeczne? Gdybyśmy dążyli tylko do chimery? Takiem jest właśnie zdanie Desjardinsa. Nasza bezsilność, nasza nędza, nasze utrapienia pochodzą właśnie z poszukiwania rzeczy przeciwnej naturze. „Rozczarowanie — mówi on — przyszło i ono jest najważniejszym epizodem naszej historyi moralnej. Jest to światło oblewające obecnie zaledwie szczyty, ale jeżeli ono zstąpi aż do głębi dolin, gdzie się cisną tłumy, zobaczymy może rzeczy dziwne. Gdy nowina zabrzmi i rozbiegnie się, iż szczęście nie istnieje, co za wstrząśnienie, co za dreszcz przebiegnie tłumy żyjące obecnie tylko dążeniem do szczęścia!" Czy ludzkość nie wpadnie w rozpacz, spostrzegłszy nicość swych nadziei? Nie, odpowiada autor, zwróci ona całą swą energię moralną do innej formy życia wyższego i tego dnia wszystko zmieni się w sercu człowieka i na ziemi. Człowiek przekona się z czasem, iż szczęście polega nie na dążeniu doń, lecz na wyrzeczeniu się go. Autor stara się być w zgodzie z religią, zdaje się jednak, iż zmienić fakt nadzmysłowy „życia nowego" na zjawisko psychologiczne, do którego przychodzimy przez rozumowanie, to znaczy w zupełności przeistoczyć jego naturę. „Życie nowe," o którem mowa w religii, nie jest owocem ani doświadczenia, ani refleksyi filozoficznej, ani wytworem czysto nadzmysłowego natchnienia. Jest to wielka iluzya, żeby rozczarowanie egoizmu miało zaprowadzić kiedyś człowieka do miłości i poświęcenia. Religia dla tej przemiany wymagała łaski bożej. Ten czynnik metafizyczny, w który ani Desjardins, ani de Vogüé nie wierzą, zostaje przez nich zupełnie opuszczony i dla tego w misternie przez nich wypracowanej maszyneryi brak głównego motoru. Dlatego też można się obawiać, iż ten świecki mistycyzm pozostanie bezsilnym, a napewno twierdzić można, iż większych mas nie obejmie. Pozostanie on marzeniem oddzielnych jednostek, zwłaszcza w tej formie, jaką mu nadał Desjardins.

Na praktyczniejszy grunt stara się postawić ten kierunek de Vogüé, dając mu uzasadnienie w wyższych zadaniach rasy. Tylko rasa pozostaje; powinna mieć przewagę nad jednostką, naród ze swą duszą wspólną więcej znaczy, niż czynniki przechodnie, z których się składa. Rasa zaś nie może się rozwijać bez tłumienia jednostek, dlatego też walkę o byt ludów uważa za zjawisko zbawienne. a wojnę wraz z de Maistrem za prawo boskie. „Pewność pokoju zaszczepiłaby w ciągu 50 lat zepsucie i upadek daleko gorsze dla człowieka, niż najokropniejsza wojna." Od osobnika wymaga de Vogüé ślepego posłuszeństwa woli ogółu i bez wszelkiego wahania składa go w ofierze na ołtarzu rasy, co najdalej zaś ceni w nim bierne bohaterstwo niewolnika. Do takich wybryków, do takiego barbarzyństwa dochodzi etyka mieszczańska u ostatnich swych przedstawicieli. Że rasa jest liczniejsza od jednostki, to prawda arytmetyczna, ale nie moralna. Osobnik jest światem całym, a człowiek moralny, mając do wyboru życie jednostki lub życie ludzkości całej, nie potrafi się zdecydować. Nie jest to negacyą poświęcenia, przeciwnie, jednostka poświęcać się może, ale jeżeli to stanowi jej własną potrzebę i przyjemność, nie mamy zaś prawa żądać od niej złożenia ze siebie ofiary, wbrew woli, chociażby dla dobra niezliczonych mas. Trzeba dążyć do tego, żeby egoizm ludzki spływał się z dobrem ogółu, w jaknajszerszem tych słów znaczeniu. Ale samo zaprzeczenie tego egoizmu, jak chce Desjardins, jest dziką fantazyą, a dodajmy, iż próby jej zastosowania wywoływały zawsze skutki najzgubniejsze: tak ascetyzm jest reakcyą ducha spragnionego właśnie ziemskich rozkoszy, objawiającą się w zawiści i nietolerancyi, doprowadzonych do ostatecznych swych granic, litość i przebaczenie są odmianami zemsty itd. Nie będziemy się tu zastanawiali nad innemi uczuciami tego rodzaju: zawsze i wszędzie znajdujemy tylko wykręty, i to nadzwyczaj wyrafinowane, egoizmu, który chciano stłumić. Raz na zawsze musimy się zgodzić, iż on jest najogólniejszą pobudką postępków ludzkich i że występuje nawet w czynach największego poświęcenia, tak samo, jak wznosząc się na balonie, nie przestajemy jednak być pod wpływem siły ciężkości. Nie egoizm jest zły, lecz jego maskarada, używająca figowych listków i płaszczyków, obłuda chcąca wyzyskać głupotę i zadać jej uderzenie z tyłu. Pogaństwo, w którem egoizm występował w swej pierwotnej nagości, pomimo wszystkie swe barbarzyństwa, było niewątpliwie bardziej ludzkie, niż późniejsza obłuda, występująca tylko w rękawiczkach i lakierkach, która zadaje ciosy z tyłu i po okresie miodowych słówek, objęć i całusów pokrywa pola milionami trupów.

Śmiać się trzeba, spoglądając na niekłamany przestrach, z jakim moralny filister słucha o „krwawych ofiarach, jakie składadano na ołtarzach Molocha" — 100 osób rocznie — i z jaką obojętnością żyje obecnie w społeczeństwie, w którem codziennie tysiące niewinnych istot, kobiet i dzieci, żyłowane i wysysane są z nieubłaganem okrucieństwem przy potworach-maszynach. Starożytni, spojrzawszy na te stosunki, nazwaliby nas niewątpliwie ludożercami. W nas nie wzbudza to najmniejszego oburzenia, gdyż wszystkie wymagania hypokryzyi są zaspokojone. Gdy za czasów Herodota zginęło w bitwie kilkaset osób, co najwyżej kilka tysięcy, Clio ze zgrozy łamała rylec; obecne hekatomby wojenne w wieku cywilizacyi i moralności są szykowane z taką zażartością, jak gdyby nigdzie już pomysłowość ludzka i t. zw. postęp nie mogły znaleźć lepszego zastosowania.

Zaiste, zerwanie tradycyi klasycznej było jednem z największych nieszczęść ludzkości, we wszystkich dziedzinach, nie wyjmując etyki. Tradycya ta dałaby nam szlachetne wolne zwierzę o rozwiniętem poczuciu własnych praw i szanujące cudze. Wtargnięcie zaś niewolnictwa do etyki wytworzyło masę cnót, które są tylko niesłychanem wyrafinowaniem egoizmu. Rozumie się, trudno obecnie protestować przeciw nim: gdy organizm jest chory, wówczas żelazo i jad — złe same przez się — bywają koniecznym warunkiem utrzymania go przy życiu. Ludzkość doszła już do takiego sta-

---

— Z powodu moich solidnych zasad?
— Z powodu liberalnych zasad pani!
— Tak, jeżeli będziesz pan, co się zowie, zakochany w innej, to może się zdecyduję! Wesołość.

* *
*

Kochać i szaleć, póki się jest młodym, potem zaś — odpowiednio do stanu, rozumne małżeństwo... Starzy mają słuszność.

Niewiele tam z tej mojej młodości pozostało. Święcę teraz ostatnią moją miłość.

Więc dlaczegóż nie wziąć i tej?

Zaproponować jej to? Niepojęta słabość!

Niepojęta siła. My mężczyźni uchodzimy za ród słaby, a jednak ja, wśród słabych — najsłabszy, składam dowody nadludzkiej siły — na polu cnoty! — Niepojęte!

Skłonność przeistacza nas. Kobieta, gdy kocha, staje się słabą; mężczyzna, kochając, staje się silnym. Jeżeli mężczyzna ma sposobność uwiedzenia kobiety, a nie uwodzi jej, głowę dam, że tę kobietę kocha.

Lecz wszystko ma kres, a i ja dłużej silnym być już nie potrafię. W ten sposób nie *mogę* się z nią rozejść; *musimy* razem przez godzinę jedną być młodymi, *musimy*. Wiele byłbym oszczędził sobie cierpień, gdybym wcześniej był odważnym i powziął postanowienie.

Przemówię uczciwie. Będę gentlemanem. Zostawię jej jaknajwięcej sposobności dla powiedzenia — *nie*. Jeżeli mimo to powie *tak*, jeżeli sama chce... byłoby przestępstwem ująć jej „zdarzenie młodości." Głupota moja była bezgraniczna. Jakże to się zawsze stwierdza, że miłość nie jest fachem mężczyzny. Zawsze kobieta wprowadza rzeczy w bieg... tym razem, dziwna — *inna* kobieta.

Wreszcie — zbawcze postanowienie. Cokolwiekbądź z nią się dzieje, obowiązkiem moim jest — dać jej możność wyboru. Niechaj ma sposobność! A więc przystępuję. Szczęście towarzyszy śmiałym.

* *
*

Pisanie jest rzeczą bezcelową. Kto chce, aby kobieta wybrała, nie powinien dać jej czasu na zbyt zimne rozważanie. Tem samem uniemożebnia się jej powzięcie decyzyi. Chce — nie — nie chce — nic. Kobiecie trzeba zewnętrznego bodźca nawet tam, gdy idzie o to, aby uczyniła, co sama chce. Nie było jeszcze wypadku w historyi, aby kobieta postanowiła coś na własną rękę.

* *
*

Szukam i nie znajduję jej. Nie, o nie; po owym ostatnim razie.

Leniwie, nędznie szukam towarzystwa „przyjaciół," wśród których mógłbym zapomnieć. Jakaż to była wogóle szalona myśl: zaproponować jej stosunek!

Ha, gdybym był czekał stosownej chwili — może! Przestraszyłem ją. Pogardza mną. Nie spotkam jej już nigdy.

Jeszcze raz czułem, jak szczęście nastąpiło mi na nagniotek i nie chwyciłem go, nie mogłem. Grzecznie, rumieniąc się, usunąłem się na bok, złożyłem ukłon i rzekłem: „Przepraszam, niech pani wybaczy, że weszłem jej w drogę."

I oto widzę, jak znika poza górami, niby obłok biały. Uśmiecha się szydersko, gorzko, smutnie.

Poraz trzeci przeszło koło mnie. A drwić z siebie nie pozwala. Był to już raz ostatni... „jeszcze tę noc czwartkową, a potem już nigdy, przenigdy." Szczęście nie jest ladacznicą, żeby biedz za mną miała.

— Biedaku! Idź do „przyjaciół" twoich i do przyjaciółek, które się rzuca i bierze znowu. Jesteś kawałkiem rozbitego okrętu, który fala wyrzuciła na ministeryalne krzesło do pisania; na niem wisieć będziesz, póki nie zbutwiejesz.

.(D. c. n.).

nu, iż uczucia litości, dobroczynności, miłosierdzia itp. — wywołujące demoralizacyę i upodlenie, stały się koniecznym warunkiem utrzymania jej przy życiu, zwłaszcza tak zwanej cierpiącej ludzkości, której krzywda dostarcza handlarzom i faryzeuszom jeszcze kwitków do nieba. Kiedyś uznany będzie ten prosty fakt, który służy za podstawę etyki starożytnej, iż egoizm, dążenie do szczęścia — z którem Desjardins i de Vogüé walczą — jest zasadniczą siłą psychiczną człowieka, tak samo, jak w innych dziedzinach wiedzy uznano zasadniczość siły ciążenia lub praw mechaniki. W wiekach przesądów za takie uznanie palono. W świecie moralnym dotychczas panują wieki średnie: koniecznie dobijamy się zamaskowania tej siły zasadniczej, jej zdławienia, skrzywienia, czem wywołujemy taki tylko rezultat, iż jak sprężyna naciskana uderza nas z daleko większą siłą, tak egoizm krzywiony wybucha z całą potęgą więzionego żywiołu. Zresztą pojmujemy tu egoizm w znaczeniu „życia najobszerniejszego i najbardziej natężonego,“ któreby było zarazem ściśle związane z względami dobra powszechnego.

Słowem, probę reakcyi Desjardins'a i de Vogüé'go uważać można za chybioną i ze względu na psychologiczną niemoc autorów, proroków bez wiary, i ze względu na społeczną niemoc samego kierunku. Pod względem literackim otrzymane zostały rezultaty daleko dogodniejsze. Desjardins odszukuje w literaturze europejskiej współwyznawców, których nazywa „towarzyszami nowego życia,“ i dał nam cały szereg z talentem opracowanych portretów (Pommairolo, Sully Prudhomme, Mary Robinson, pani Browning, Sécretan, Tołstoj itd.). Autor zalicza do braterstwa mistycznego wszystkich pisarzy artystów, którzy uznają swą niemoc moralną, braki dyletantyzmu i estetycyzmu i wracają na łono starej tradycyi. Krytyka Desjardinsa nie ma żadnych pretensyj do naukowości, jest ona czysto subjektywna, a raczej moralizatorska. Toż samo powiedzieć można i o de Vogüé, który zresztą bardziej odznaczył się jako pisarz społeczny, walczący za ideały socyalizmu katolickiego, niż jako krytyk. W tej dziedzinie znane są jego studya i szkice krytyczne, drukowane w *Revue des deux mondes*. Wszystkie te prace cechuje wyżej scharakteryzowany impresyonizm moralny; nie odznaczają się wszakże ani głębokością, ani oryginalnością poglądów.

L. W.

PRZEKŁADY POETYCKIE.

IV.

Upiory!

Tak wykrzykuje, śmiertelną trwogą przejęta, p. Alving, gdy przez uchylone drzwi ujrzała syna swego Oswalda, zalecającego się natarczywie, przy wtórze łoskotu krzeseł, do pokojówki. I tak też zatytułował Ibsen jeden z najśmielszych swych dramatów, którego niemieccy komisarze od cnoty sykiem gadzinowym nie puścili na scenę.

I cóż w tem strasznego, zapytać gotów ktoś nieusposobiony wcale po katońsku — umizgi do młodego a pięknego dziewczęcia, to wprawdzie czyn bardzo karygodny w pewnych warunkach, ale czyż może on dawać powód do tragicznych spazmów ze strony przypadkowego świadka? Widok prawdziwej mary cmentarnej, snującej się w biały dzień po świecie, nie napełniłby jednak takim lękiem nikogo, jak ta drobna swawola — panią Alving.

Dlaczego — bo dla niej było to istotne widmo. W tem samem miejscu mąż jej, dziś już nie żyjący, niegdyś tak samo uganiał się z żądzą w oczach za inną dziewczyną, matką następnie tej oto zachwycającej Reginy. Był to rozpustnik, cynik i pijak mimo zaszczytny swój tytuł szambelana, niecpoń, od którego żona uciekła raz, nie mogąc dłużej wyuzdania jego znosić. Złamał on jej życie i umarł, wedle określenia lekarza, tak samo podle, jak przedtem dni swoje wlókł. A jest to kobieta rozumna, wykształcona, ze stalową wolą, dzięki której potrafiła zamknąć zgorszenie w obrębie własnego domu i wprowadzać ludzi w błąd pozorami szczęścia i zgody. Co więcej, zdołała ustrzedz od szkodliwych wpływów syna swego, jedynaka, wychowując go daleko od siebie, w Paryżu; nie zdradziła przed nim tajemnicy małżeńskiej i ze stoicyzmem patrzała na jego uwielbienie dla pamięci człowieka, ku któremu sama czuła niewypowiedziany wstręt. Zmogła ona siebie powielekroć i nawet teraz oto krząta się około budowy pomnika dla swego męża i ochrony jego imienia. Wszystko, co w niej szemrało przeciw okrucieństwu losu i dopominało się kropli lepszej doli — zdławiła w sobie, zmusiła do milczenia.

Po tylu zwycięztwach pyszni się rolą matki dojrzałego syna, malarza — i to jej wystarcza. Prócz niego kocha jeszcze tylko swoje książki, idee, które wyssała z nich i z gorzkiego doświadczenia, swój niemy, czysto teoretyczny bunt przeciw temu jarzmu kłamstw społecznych, przesądów i gwałtów, których ofiarą padła. Dwie te miłości wypełniają jej umysł i dają względny spokój, trwający póty, póki nie zrobiono zamachu na obydwie, a wtedy mamy przed sobą już nie żałosne rozpamiętywania, lecz szorstki dramat.

Dramat? Jakże można opierać utwór sceniczny na motywie samego cierpienia, w którem wina własna nie odgrywa żadnej roli, lecz sprawcami są warunki otaczające? W imię tej wątpliwości, większość literackich pierników odsądziła *Widma* od czci i wiary. Prostota umysłowa lubi zapominać, że w sensie psychologicznym winy własnej niema, że najbardziej nawet klasyczny przedstawiciel „kolizyi“ między obowiązkiem a namiętnością, między głosem rozsądku a porywem uczucia jest zawsze i wszędzie wypadkową, rezultatem, a nie winowajcą. Zbrodniarz Makbet jest tylko wytworem ślepej, wyższej od niego ambicyi, całkiem tak samo, jak nowoczesna pani Alving jest igraszką niesprawiedliwych urządzeń. Obraz cierpienia jest zarówno tu jak i tam — obrazem dramatycznym.

Okropne są męki człowieka, gdy nie może uśpić kąsającego sumienia ani cofnąć popełnionego czynu, ale nie mniejszą katusza biednej jednostki, która nie może stawić czoła nawale przemocy i z całą świadomością swej bezwiny, a z całą rozpaczą przymusowego topielca idzie na dno. Różnica chyba na tem polega, że w pierwszym wypadku bolejemy nad bliźnim, wyjątkowo nierozważnym lub gwałtownym i wskutek tego nieszczęśliwym, a w drugim mamy do czynienia z *typem*, który daje nam poznać, że takim skazańcom wielkiej inkwizycyi dziewiętnastego wieku — na imię legion, że my sami jesteśmy mniej lub więcej ich *socii doloris*...

Dramat nowożytny, wyhodowany pod tchem pojęć determinizmu, właśnie takim a nie innym być powinien. Ibsenowi można zatem być wdzięcznym, że zerwał z przykazaniami dawnej poetyki, społecznie ślepej, etycznie naiwnej i estetycznie — ograniczonej. Na miejsce bólu moralnego przedstawia on ból socyalny, obyczajowy. Jego *Upiory* nie mają więc bohatera, któryby pokutował za własne wykroczenia, lecz takich, którzy pokutują niesprawiedliwie a srodze za winy cudze.

Mówimy w liczbie mnogiej, gdyż pani Alving nie wyczerpuje swą osobą całej treści utworu i nie stanowi najbardziej krańcowego wyrazu nowatorstwa poety norweskiego. Główny ciężar niedoli spada raczej na Oswalda; on to jest żywem wcieleniem tragedyi, w której wyrzut sumienia lub kara za grzechy żadnej zgoła nie odgrywają roli. Nikomu nic złego nie zrobił, wyniósł z ogniska cywilizacyi poglądy szerokie i humanitarne; rwie się do pracy artystycznej, jest, słowem, pod każdym względem osobnikiem dodatnim, a jednak nosi w swem łonie piekło — chorobę nerwów. To, co opowiada o niej, budzi litość i strach w każdym, pojmującym, czem są napady zupełnego zniechęcenia, obawa szaleństwa, trwoga przed nocą, myśl samobójcza. Chociaż prowadzi życie niemal skromne, zawisło nad nim fatum śmierci w chwili najmniej spodziewanej albo obłąkania, zapowiedzianego wprost przez lekarza. Widok tej newrozy jest okropny, stopniowo ogarnia ona całą istotę, wypacza zmysł moralny, czyni Oswalda samolubem, zimnym na prośby matki i zajętym tylko własną chorobą, wreszcie przepaja go pesymizmem i wkłada mu w usta dziwnie w owej chwili naturalne i gorzkie pytanie — jak rodzice śmieli dać mu życie? Jedyny ratunek widzi on w związku z ponętną Reginą, prawdopodobnie swobodnym, bo czuje, że zespolenie się z organizmem żywotnym, energicznym i bogatym powróciłoby mu zdrowie i ochotę do życia.

Ale właśnie w chwili największego podniecenia nerwowego biedny mortinista dowiaduje się całej prawdy o ojcu i zarazem o swojem braterstwie z Reginą. A więc nie dosyć tego dziedzictwa po alkoholiku i rozpustniku — trzebaż jeszcze, ażeby z jego winy szło złudzenie ratunku i niemożność ratunku. Wpleciony jest w błędne koło szkarady swego ojca, uwięziony w niem wraz z matką. I w rzeczy samej widzimy na zakończenie, jak po nocy pełnej wstrząśnień wymógłszy na matce okropną obietnicę przyspieszenia zgonu w razie, gdyby stał się niedołężnym i nieuleczalnym, wpada w dziwny stan obłędu czy też śmierci i ostatniemi słowy modli się, by mu dała „słońce! słońce!“

Wypadek ten nie miałby w sobie tej ponurości, nie miałby przysmaku zbrodni społecznej, dokonanej na niewinnym, gdybyśmy tego społeczeństwa nie widzieli, wcielonego w żywe, imieniem jego przemawiające osoby. Właśnie pastor Manders wyobraża je doskonale. Jego pochwały i nagany, perory i wskazówki są to zwykłe brednie cnoty urzędowej, tak jak ją wykładano sto lat temu. Jego wścibstwo, to znane natręctwo opinii, która dlatego, że jest głupią i ciemną — uważa się za powołaną do roztaczania opiekuńczych skrzydeł. Ma on czelność wzywać imienia Boga dla uświęcenia kłamstw i obłudy, które wyłądz by mógł chyba tylko w mózgu dyabła — albo idyoty. Bo pastor Manders jest najzabawniejszą w świecie mieszaniną zacności i kretynizmu raczej, niż świadomie nikczemnych popędów, ot zupełnie tak samo, jak to wielkie ciało zbiorowe, którego tkankami jesteśmy. Kiedy zapewnia on, że nigdy nawet myślą nie pokalał ogniska domowego Alvingów, mimo iż ona, idąc za popędem miłości, chciała go przenieść nad męża i całkiem mu się oddać — możemy mu wierzyć, bo to słowa szczere. Kiedy wzrusza się udanem nawróceniem ojczyma Reginy, układnego łotra nad łotry— czujemy, że nie kłamie. Kiedy grozi lub z palcem wzniesionym w niebo moralizuje — widzimy, iż jest przejęty... Ale to wszystko nie przeszkadza mu wcale zgodzić się na zatajenie faktu, iż nieostrożnością swą wzbudził pożar w świeżo poświęconej przez siebie ochronie, bo jest małodusznym tchórzem, a w gruncie rzeczy i faryzeuszem — zupełnie tak samo, jak społeczeństwo...

Naturalnie, iż pod tarczą takich apostołów musi ginąć niesprawiedliwie to, co szlachetne, a dojrzewać i kwitnąć „Gospoda pod panem szambelanem,“ która wyrasta na gruncie spalonego dzieła filantropii, dzięki błogosławieństwu i poparciu dusz

pasterza. Muszą się dziać i rozmaite inne rzeczy, nader zabawne, a ze świetnym dowcipem przez Ibsena wyzyskane. Ów ojczym, przebiegły cieśla, tak cudownie gra na uczuciach i zasadach szanownego teologa, że ten z łatwością wierzy, iż jest mimowolnym podpalaczem i za cenę dochowania tajemnicy gotów zrobić wszystko. Wreszcie i Regina, której się zdawało, że ma aspiracye lepsze, porzuca nieszczęśliwą rodzinę i pomna na dawne perswazye pastora, wstępuje do gospody — dla majtków.

Tak więc „upiory" doprowadziły swe dzieło do ostatecznych konsekwencyj. Złowrogo ciążą one nad dramatem. Ibsen, jako *sui generis* symbolista, pragnął rozlać wrażenie ich po całym utworze i wskutek tego wpadł w mglistość, która sprawia, iż nie wiadomo na pewno, co właściwie jest owem widmem. Nazywa on upiorami i ludzi, i urządzenia, i wypadki — a to nieco za wiele. Wszakże wątpliwości nie ulega, iż wiedział, czego chce, bo wszystko, co się dzieje obecnie, a dzieje źle, uważa za marę przeszłości, która niepotrzebnie wstaje z grobu i straszy nas. W swojem zaufaniu do godeł wielkiej rewolucyi, ma za największych naszych wrogów „przepisy i prawa." To zaufanie do liberalizmu i radykalizmu, dosyć dziwnie wygląda obok idei *Wroga ludu*, gdzie apoteozuje arystokracyę ducha na niekorzyść liberałów, ale nie trzeba zapominać, że tam chodzi o prawdę polityczną, a tu o szczęście osobiste i rodzinne. One to zostały zdruzgotane lub uniemożebnione przez potworny związek dwóch istot niedobranych lecz sprzężonych gwałtem warunków zewnętrznych. „Podobno pochodzimy wszyscy z takich związków — mówi pani Alving, która wraz z synem broni wolnej miłości. A któż to taki porządek zaprowadził na świecie?" „Niekiedy zdaje mi się, żeśmy wszyscy upiorami. Prócz wyobrażeń, które odziedziczyliśmy po ojcu i matce, błąkają się po naszych umysłach jeszcze strzępy strupieszałych pojęć, wierzeń i podobnych łachmanów. Nie żyją one, ale tkwią w naszem wnętrzu tak silnie, że pozbyć się ich trudno. Gdy czytam gazetę, wyszczerzają one do mnie zęby — z pomiędzy wierszy. Kraj nasz nimi przepełniony być musi. Tyle ich widocznie, co piasku w morzu. A zresztą — wszak my wszyscy tak sromotnie uciekamy przed światłem..."

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIELKI JUBILEUSZ.

Mit o Minerwie, wyskakującej z głowy Jowisza, nie urzeczywistnił się nigdy. W dziejach cywilizacyi ani jeden pomysł, ani jeden wynalazek, ani jedno odkrycie, ani jedna teorya nie pojawiła się bez poprzednictwa, nie przyszła na świat bez rodziców. Nawet tak samodzielny system Kopernika przebłyskiwał w głowach badaczów przed wystąpieniem wielkiego astronoma. Ktokolwiek śledził rodowód jakiejś myśli, niewątpliwie ze zdumieniem przekonywał się, że chociaż przywiązany do tego lub innego nazwiska, sięga swym początkiem dalej i nieraz ginie w przeszłości. Podobny wypadek zachodzi z odkryciem Ameryki przez Kolumba. Przywykliśmy fakt ten chrzcić jego imieniem i jemu wyłącznie przypisywać zasługę; tymczasem dziś już wiadomo, że nie licząc wypraw normandzkich do Grenlandyi, wielu przed nim marzyło o przeprawie przez Atlantyk do... Azyi. Kolumb nie przewyższał nawet swoich poprzedników i współczesnych wiedzą geograficzną, tkwił w tychże samych błędach aż do śmierci, gdyż umarł z przekonaniem, że Kuba jest częścią państwa chińskiego, a Espaniola — wyspą „Zipongu," że pomiędzy morzem Kariabskiem a zatoką Bengalską nie rozpościera się cała półkula wodna, tylko przesmyk lądowy. Jego przedsięwzięcie polegało — jak mówi Peschel — na dziwnej przędzy złudzeń i prawdopodobnie byłoby się rozbiło całkowicie, gdyby go nie zawiodły do celu wskazówki szczęśliwym instynktem obranej drogi. Czem on wszakże przerósł wszystkich, dokonał olbrzymiego dzieła i zyskał nieśmiertelną chwałę, to potężną wiarą w swoje marzenie, szaloną śmiałością i zdumiewającą energią. „Gdyby nawet Kolumb — powiada wspomniany badacz niemiecki *) — musiał był powrócić z podróży atlantyckiej daremnie, nie odkrywszy Nowego Świata, zawsze by jednak pozostał przedmiotem uwielbienia; śmiałość bowiem usiłowań i torowanie nowych, niezwyczajnych dróg zdaje się spuścizną przechodzić od jego czynu na następne pokolenia. Zawdzięczamy mu, jeżeli podobne słowo przystoi rozumowi ludzkiemu, że stosunki nasze dojrzały o pół wieku wcześniej."

Warto bodaj w wyjątkach, przytaczanych przez biografów, przeczytać ustępy z jego „księgi okrętowej," w której spisał dziennik swej podróży. Zdumienie ogarnia nas co chwila. Jak z głębin ziemi wydobywamy szkielety potwornych, zaginionych już zwierząt, tak tu mamy przed sobą szkielet olbrzyma, dla którego napróżno szukalibyśmy odpowiednika śród ludzi nowożytnych. Dzisiejszy podróżnik przy rozległej i ścisłej wiedzy jest jeszcze ostrożny; Kolumb z głową pełną majaczeń, baśni, błędów, najfałszywszych wyobrażeń, posiadając zaledwie kilka nędznych korabiów, puszcza się zuchwale na bezmierny ocean, z taką wiarą, pewnością siebie i upartym fanatyzmem, jak gdyby obecnie płynął na bezpiecznym parowcu, z doskonałemi mapami, do mniej znanej części świata. Tej miary ludzie już wyginęli wraz z mastodontami.

Właśnie d. 3 sierpnia upłynęło 400 lat, jak na pokładzie lichego żaglowca „Santa Maria" odbił od brzegu w Palos z dwoma jeszcze mniejszymi statkami i załogą 90 ludzi. Jedzie przekonany, że wyląduje na brzegach Azyi i wybiera kierunek zachodnio-południowy, ani przypuszczając nawet, że w dwu punktach (między Irlandyą a Labradorem i Senegambią a Ameryką południową) ląd stary zbliża się do nowego około 450 mil geograficznych. Ponieważ już wówczas znane były chociaż niedokładne sposoby mierzenia przebytej drogi morzem, więc w tajemnicy prowadzi dla siebie rachubę dokładną, a towarzyszów oszukuje niższemi cyframi. Ani chwili przytem nie usuwa z uwagi głównego celu swej podróży. Dnia 1 października sternik Capitany oceniał przebytą odległość od Genewy na 578 leguas. Obliczenie Kolumba, przeznaczone dla załogi, wynosiło 584 leguas, rzeczywiste zaś, potajemne 707. Dnia 3 października, kiedy eskadra znowu posunęła się o 60—70 leguas dalej na zachód, zapisuje on uwagę w dzienniku: „Jest mocno przekonany, iż wyspy atlantyckie, na jego karcie oznaczone, muszą już leżyć po za nim. Ale ani przeszłej niedzieli, ani w ostatnich dniach, kiedy znaki bliskości ziemi były tak widoczne, nie chciał tracić czasu na poboczne wycieczki, celem jego bowiem są zawsze Indye, a więc wszelka zwłoka byłaby nierozumną."

Podziwiając wszakże w Kolumbie bajeczną energię i śmiałość, nie należy upatrywać w jego charakterze rysów idealnych. Był to awanturnik w wielkim stylu XV w., zdobywca chciwy i okrutny. Monarchowie hiszpańscy przeznaczyli dożywotnią pensyę roczną 26½ dukatów temu z załogi, który pierwszy ujrzy poszukiwaną ziemię, a nadto Kolumb obiecał mu jedwabny kaftan. Chociaż rzeczywiście naprzód zoczył był pewien majtek, Kolumb przywłaszczył sobie nagrodę i naturalnie nie dał kaftana. Wiadomo, jak gospodarował w nowoodkrytych ziemiach, znacząc drogę swego pochodu mordami i grabieżą. „Nie możemy się też uwolnić od przykrego uczucia — powiada Peschel — gdy na każdej stronicy pism wielkiego człowieka, nawet śród uniesień gorączki religijnej, nawet śród zachwytu nad świeżą jakby glorya jaśniejącemi dziełami zachodnio-atlantyckiego stworzenia, słowem, wszędzie znajdujemy rojenia o monopolach, fiskalne złudzenia, które wskutek nienasyconej chciwości przygniatały umysł jego." Z drugiej wszakże strony nie zapominajmy, że Kolumb był synem XV w., wieku ślepej, fanatycznej wiary. Tymczasem te same krwawe plamy, te same łupiestwa, któremi on się zmazał, dostrzegamy na rękach nowożytnych zdobywców dzikiego lądu, z tą niekorzystną dla nas różnicą, że ich dzieli od niego cztery stulecia cywilizacyi i że to, co on czynił na gorąco, to oni robią na zimno. Okrucieństwa anglików XIX w. w Azyi, Afryce i Ameryce nie bledną wcale przy okrucieństwach Kolumba.

Historya w takich olbrzymach zaciera wady a uwydatnia zalety. Cokolwiek pokalało charakter odkrywcy Ameryki pozostanie on na wieki kolosem, a jego zasługa niezliczoną. Genua jako miasto rodzinne, a Hiszpania jako orędowniczka mogą z dumą święcić ten jubileusz.

*) Pragnącym bliżej zaznajomić się z epoką odkryć i wyprawą Kolumba, przypominamy, że książka Peschla („Historya wielkich odkryć geograficznych") przełożona została na język polski przez J. Tretiaka.

K A R T K I.

Dobory antropologiczne. Świeżo w jednem z czasopism angielskich ukazała się interesująca pod wielu względami praca angielskiego antropologa, Beddoe. Sam autor jest postacią nadzwyczajnie ciekawą i oryginalną. Przeszedł on całą Europę, badając u ludności różnych okolic barwę włosów i oczu. Zebrał w ten sposób materyał bardzo obfity, bo dosięgający setki tysięcy spostrzeżeń — cyfrę zaiste olbrzymią, jeżeli zważymy, że jest on rezultatem wysiłku osobniczego. Rozprawa Beddoe'a, umieszczona w *Scottish Revue*, jest widocznie wstępem do pracy obszerniejszej, poświęconej zbadaniu przedhistorycznych stosunków rasowych w Europie. Autor rozpatruje w niej zagadnienie, czy wzajemny stosunek ilościowy różnych typów antropologicznych pozostaje bez zmiany, czy też ulega przekształceniu, a w tym ostatnim wypadku pod względem jakich czynników zjawisko to występuje.

Beddoe przypisuje olbrzymie znaczenie wpływom życia miejskiego. Zmierzają one do wyrugowania zpośród dzisiejszej ludności wszystkich okazów wysokorosłych, potężnie zbudowanych, z rozwiniętą silnie klatką piersiową, jako mniej odpowiednią do tegoczesnych warunków bytu. Człowiek, który dużo waży i posiada szerokie piersi i znaczny wzrost, wymaga zbyt wiele powietrza. Miasto nie jest siedzibą dla niego. A zatem jako nieodpowiednia do życia wielkomiejskiego rasa rosła jest skazana na wymarcie. Składają się na to jeszcze i inne powody. Zarazki suchotnicze czepiają się właśnie przedewszystkiem takich okazów zdrowych i mały wzrost, wązka klatka piersiowa są jakby premią wyżycia dla członków tegoczesnej cywilizacyi. W innym nieco kierunku działał dobór zakonny wieków średnich. Już Galton zwrócił był uwagę, że czaszki mnichów średniowiecznych odznaczają się większym rozwojem, aniżeli rycerskie. Beddoe w tym kierunku przeprowadził dalsze badania. Ze zdziwieniem spostrzegł, że kiedy czaszki zakonników posiadają wprost piękny rozwój czoła, szlacheckie są w tył podane, niskie, mało foremne i źle rozwinięte. Ponieważ jednak klasz-

tor powstrzymywał możność przekazania tego rozwoju mózgowego potomkom — przynajmniej na szeroką skalę, przeto należy go uważać za instytucyę, która w ciągu wieków ogałacała ród ludzki z uzdolnień umysłowych. Podobnie i dzisiaj działają pewne przyczyny w tym kierunku, a tkwią one w późnem małżeństwie kobiet, oddających się pracy umysłowej. Ktoś obliczył, że gdyby każda ze stu kobiet wyszła za mąż w 20 roku życia, dałaby po latach 324 aż 535 potomków; tymczasem ta sama setka, wychodząc za mąż w 28 roku, nie posiada więcej nad 23 praprawnuków. Ta sama przyczyna później sprawia, że pewne typy fizyczne powoli znikają. Beddoe prowadził poszukiwania w Bristolu, jakiej barwy włosów kobiety procentowo najczęściej i najwcześniej bywają poślubiane. Okazało się, że brunetki są względnie poszukiwane najbardziej. Jeżeli coś podobnego odbywa się na większej przestrzeni, nie omieszka wywołać odpowiednich następstw.

W ten sposób pod działaniem mnóstwa drobnych wpływów wygląd antropologiczny ludności pewnego kraju ulega nieustającej zmianie.

Święto wszechangielskie. Język angielski wraz z kulturą, dzięki zdobyczom kolonialnym, rozpowszechnił się na znacznej przestrzeni. Dzisiaj w kilku miejscach globu ziemskiego powstają niezależne ogniska kultury angielskiej, rozwijające się bardzo silnie. Nie mówimy już o Stanach Zjednoczonych, które wyodrębniły się zupełnie. Po za nimi mamy jednak jeszcze Australię, której rozwój postępuje tak szybko, jak gdyby nałożył na nogi swoje podaniowe buty siedmiomilowe; Nową Zelandyę, o której tak głucho w naszej części świata, a która w każdym względzie wyprzedziła starą i rutyniczną Europę; południową krawędź Afryki, niemniej pomyślnie się rozwijającą, wreszcie Kanadę. W miarę wszakże, jak w każdej z tych części globu tętno życia miejscowego zaczyna uderzać silniej a jednocześnie niezależniej, węzły wzajemne ulegają rozluźnieniu. Skutkiem tego wielu patryotów wszechangielskich od pewnego czasu występuje z różnymi projektami wzmocnienia wzajemnych węzłów i utrzymania jedności kulturalnej przez odpowiednio zorganizowaną i systematyczną wymianę myśli i zdobyczy. Projekty te doczekały się ściślejszego sformułowania, a jednocześnie opracowania w planie niejakiego Astleya Coopera. Zaleca on urządzenie dorocznego święta wszechangielskiego. Składałoby się ono przedewszystkiem z wystawy handlowo-przemysłowej, która znajomiłaby pojedyncze dzielnice kultury angielskiej z dokonanemi wzajemnie w ciągu roku zdobyczami. Jednocześnie cały szereg konferencyj naukowych utrzymałby uczucie wspólności. Największe jednak znaczenie Astley Cooper przypisuje stronie sportowej owego święta, ponieważ ona ściągnęłaby największe tłumy uczestników i przytem w wieku młodym, kiedy zbliżenie jest najłatwiejsze i przechowuje się najtrwalej. Chodzi zaś o powołanie do życia olbrzymich ćwiczeń muzycznych, gimnastycznych, wyścigów wioślarskich, cyklicznych, boksowania.

Idea Coopera znalazła bardzo gorący i sympatyczny oddźwięk w kołach inteligencyi angielskiej. Dzienniki i pisma poważniejsze wciąż do niej wracają, tak, iż można mieć nadzieję, iż jej dojście do skutku jest tylko kwestyą czasu i to niezbyt długiego. Zdaje się, iż amerykanie, lubo o nich głucho w projekcie Coopera, pierwsi urzeczywistnią święto wszechangielskie — podczas przyszłej wystawy powszechnej w Chicago.

PAMIĘTNIK.

Cholera.

Kuryer codzienny rozesłał do lekarzy kwestyonaryusz, prosząc ich o odpowiedź na kilka pytań, dotyczących cholery. Jest to już znaczny postęp, gdyż przed kilku laty jeden z dzienników powołał do podobnego głosowania w przedmiocie hypnotyzmu — wszystkich, ale rezultat prawie taki sam. Posłuchajmy bowiem zdań rzeszy Eskulapa.

Dr. Markiewicz: „Cholera nie jest zaraźliwa w taki sposób, jak ospa, szkarlatyna, dyfteryt. Ale, niestety, nie potrzeba wejść do pokoju chorego, by się narazić na działanie jadu (?).“ Czy wy czytelnicy rozumiecie, w jaki sposób cholera jest zaraźliwa? My — nie, chociaż dr. M. dodaje, że szerzenie się epidemii jest wynikiem „stosunków frekwencyi (?), handlu i niedostateczności środków kwarantannowych.“ Ospą, szkarlatyną itd. zarażamy się przez zetknięcie z chorymi, kwarantanny i ostrzeżenia lekarskie zapobiegają również zetknięciu się, gdzie więc tkwi różnica?

Dr. Pawiński: „Zarazek cholery mieści się głównie w wypróżnieniach i wymiotach osób, dotkniętych cholerą, należy więc ekskrementa takie starannie dezinfekować, jak również odzież, bieliznę, sprzęty użyte przez chorych. Osobom zaś stykającym się z chorymi, zaleca się także obmywanie odzieży, ciała a głównie rąk środkami niszczącymi zarazek.“ Słyszeliśmy, że to same ostrożności zachowywać trzeba przy ospie, szkarlatynie itd. Nie dość tego.

Dr. Pląskowski utrzymuje, że podczas epidemii panującej w Warszawie „niejednokrotnie całował się“ z kolegami, dotkniętymi cholerą i mimo to nie zaraził się, bo nie podlegał trwodze, która według niego, głównie sprzyja przejęciu choroby. Należałoby więc, zamiast innych środków, dodawać tylko ludziom odwagi.

Dr. Zawadzki twierdzi, że zarazek przeszczepia się przez zetknięcie z chorymi, a woda jest jednym z głównych jego przewodników, „przez powietrze natomiast nie udziela się wcale.“ Tymczasem dr. Polak zapewnia (w *Zdrowiu*), że „nie mniejszą (od wody) rolę propagacyjną odgrywa powietrze.“ Nadto dr. Zawadzki zaznaczając, że „cholera występuje u ludzi w pełni zdrowia, nagle, niespodziewanie,“ zarazem dodaje, że „choroba rozpoczyna się lekkiemi dolegliwościami.“

Zastanowimy się, jaki może być rozumny cel podobnego kwestyonaryusza i wywołanych przez nie odpowiedzi? Nie zaznajomienie ogółu z ustalonemi prawdami w nauce, bo ona ich co do cholery dotąd nie posiada; nie wyjaśnienie tajemnic, bo tego nikt na obstalunek *Kuryera* nie dokona, a gdyby coś odkrył, dawno by światu objawił i nie czekał takiej sposobności. Może więc i powinno chodzić tylko o rezultat praktyczny — o zalecenie ludziom pewnych zasad postępowania i środków hygienicznych, które powstrzymują rozwój epidemii. Otóż czy ten skutek da się osiągnąć przez pobieżną teoretyzacyę, pełną niejasnych określeń i jaskrawych sprzeczności? Wątpimy. Przypuszczać należy, iż między czytelnikami wywodów lekarskich znajdą się ludzie logiczni. Ludzie ci odrazu dostrzegą zamęt pojęć i wyciągną sobie wnioski sceptyczne co do udzielanych im rad. Powiedzą bowiem:

Co to za dziwaczna szelma ta cholera! Nie przeskakuje z człowieka do człowieka, ale kryje się w grunt, z którego włazi w owoc lub ogórek jako ukryta trucizna, albo też tonie w wodzie i siedzi zaczajona w studni lub płynie rzeką, czyhając na ofiary. Ale jeżeli to taka podstępna kanalia, co pomogą wszystkie kwarantanny i środki ostrożności?

Ktoś znowu zauważy: Według jednych cholera idzie lądem, według drugich płynie wodą, według innych leci powietrzem, udziela się i nie udziela bezpośrednio, spada nagle jak jastrząb i wlecze się jak żółw — wobec tylu najrozmaitszych sądów, a więc zupełnej nieznajomości choroby, co warte są wszystkie przeciwko niej rady?

Ktoś dalej oświadczy: Najbardziej przemówił do mojego przekonania dr. T.; wyznał on bowiem otwarcie, że nie nie wie i tylko radzi pilnować... much, które roznoszą zarazę. To przynajmniej najprostsze.

Przewidując możliwość takich wniosków, nie myślimy osłabiać słuszności zaleceń hygienicznych, podanych przez lekarzy; sądzimy jedynie, że one tracą swoją siłę przekonywającą i chybiają celu w związku z wywodami teoretycznemi, w których ee głowa, to rozum. *M.*

Młócenie snopka.

Na ogólnem zebraniu członków dyrekcyi głównej Towarzystwa kredytowego ziemskiego mają być omłócone wnioski stowarzyszonych, które dojrzały podczas ostatnich wyborów. Stanowią one duży snop, a w tym snopie jest trochę pustej słomy, przeważnie zaś są kłosy pełne ziaren — żalu. Autorowie „desideratów“ żądają: ułatwień przy podziale (parcelacyi) majątków, zmniejszenia stopy procentowej od pożyczek, wprowadzenia konwersyi listów, oszczędności w wydatkach na ogłoszenia o subhastacyach, większej jawności w działaniach Towarzystwa, spłaty rat z dołu, zniesienia podatku gruntowego jako podstawy do taksy, usunięcia obowiązku składania całkowitych wykazów hipotecznych itd. itd. Nie możemy przytaczać szczegółowo zbyt długiego szeregu tych pobożnych życzeń, z których zaledwie tylko drobna cząstka będzie uwzględniona; zaznaczymy tylko ogólnie, że większość ich ma na celu albo zmniejszenie ciężarów dłużniczych albo też ułatwienie parcelacyi, obarczonej obecnie nadmiernymi kosztami. W tym punkcie Towarzystwo musi zmienić dotychczasową swoją metodę, która jest poprostu odzieraniem ze skóry stowarzyszonych. Dopóki oni bowiem płacą regularnie swoje raty i w niczem nie zmieniają swojego stosunku do instytucyi, dźwigają tylko brzemię procentu i amortyzacyi. Ale niech no zalegną w ratach, nadewszystko zaś niech spróbują sprzedać część majątku lub go rozparcelować, natychmiast na każdym rublu narasta niemal drugi rubel, mnożą się koszty w tak przerażający sposób, że żaden lichwiarz lub lombard nie wypróżni kieszeni swego dłużnika z równem okrucieństwem. Przyjazd delegata dla najbłahszej czynności pociąga za sobą ogromny haracz. Za wyglądanie oknem lub objadanie stowarzyszonego przez dzień lub kilka pobiera on takie dyety, jak gdyby przenosił góry lub wynajdywał sposoby uszczęśliwienia dłużników Towarzystwa. Chociażby to miało bardzo nie podobać się panom radcom, skala wynagradzania ich za lekkie czynności musi uledz redukcyi. Jeśli zaś ci panowie tak cenią swe usługi i nie mogą piastować urzędów „honorowych“ taniej, niech się o nie nie ubiegają. Jesteśmy przeciwnikami narażania Towarzystwa za pomocą projektów dogadzających tylko bankrutom, ale podzielamy najzupełniej skargi na jego wyzysk przy jakichkolwiek operacyach, mających na celu ratowanie się dłużnika. To powinno ustać, bo jest niesumienne i paskudne. *R.*

Podatek dochodowy.

Wiadomość dzienników petersburskich o wprowadzeniu podatku dochodowego stwierdził *Warsz. Dniewnik*. Będzie on pobierany od osób, mających nie mniej, niż 1,000 rs. dochodu, po wyłączeniu wydatków: 1) na prowadzenie gospodarstwa lub przedsiębiorstwa oraz asekuracyę majątku; 2) na procenty od zobowiązań pieniężnych, 3) na ubezpieczenie życiowe; 4) na podatki bezpośrednie oraz opłaty państwowe, ziemskie, miejskie, stanowe, pobierane od osoby lub majątku, oraz podatków pośrednich. Rozchody na utrzymanie osobiste i rodziny, oraz peryodyczne lub jednorazowe na amortyzacyę i procenty od włożonego w przedsiębiorstwo kapitału, nie potrącają się z opodatkowanego dochodu. Podatkowi nie podlegają: Członkowie Domu Cesarskiego; instytucye: ziemskie, miejskie i stanowe; domy biskupie, klasztory, kościoły, instytucye religijne i dobroczynne, oraz zakłady

uczone i naukowe; członkowie zagranicznych misyj dyplomatycznych, oraz konsulowie zagraniczni, niebędący poddanymi ruskimi; nadto: wynagrodzenie osób zarządu wojskowego, jednorazowe wsparcia udzielone przez skarb osobom znajdującym się w służbie państwowej, dobrowolne ofiary składane przez parafian duchowieństwu, dochody obcych poddanych otrzymywane z zagranicy. Skala podatkowa wzrasta w następującym stosunku: od dochodu 1,000—2,000 rs. 1%, od 2,000 do 3,000 rs. 1,1%, od 3,000 do 4,000 rs. 1,2% itd. z podwyżką $^1/_{10}$% za każdy dalszy tysiąc rubli, dopóki opodatkowanie nie dosięgnie 4%. Zmniejsza się ono do połowy dla osób, których dochód ogranicza się na wynagrodzeniu za służbę lub innych formach zarobku osobistego i nie przenosi 6,000 rs. Osobom, które oprócz wynagrodzenia służbowego lub innego zarobku, pobierają jeszcze dochód z majątku nieruchomego, kapitałów pieniężnych, przedsiębiorstw handlowych itp., podatek zmniejsza się do połowy tylko wtedy, kiedy ogólna suma ich dochodów nie przewyższa 6,000 rs., a dochód z majątków nieruchomych, kapitałów itp. nie przenosi 1,000 rs. rocznie.

Osobom, pod których opieką znajdują się członkowie rodziny, nieposiadający samodzielnego dochodu, a niemający 18 lat, lub wogóle niezdolni do pracy, opodatkowany dochód zmniejsza się o 250 rs. za każdego takiego domownika, w razie jeżeli ogólny dochód kontrybuenta nie przewyższa 6,000 rs. Zasada ta stosuje się także do domowników, którym w myśl ustawy o powinności wojskowej przysługują ulgi dzięki wykształceniu.

Organizacyę poborową pomijamy.

Jest to dopiero projekt, który wszakże ma już wejść pod obrady jesienne Rady państwa, a uchwalone tam prawo ma obowiązywać od stycznia roku przyszłego.

Muzeum rzemiosł.

Komitet tej nowonarodzonej a niewątpliwie wysoce pożytecznej instytucyi rozesłał odezwę, w której wzywa ogół do pomocy. Ma ona rozwijać się w kierunku pożytkowym, wzorowym i rozwojowym. „Pożytkowy czyli techniczny — mówi odezwa — będzie gromadził okazy, które, służąc do codziennego użytku, odznaczają się nowością i praktycznością pomysłu, również jak i środki, które umożliwiają i ułatwiają wyrób takich okazów. Wzorowy czyli modelowy będzie gromadził, czy to w okazach, czy w ich wizerunkach — wyroby rzemieślnicze, mogące pod każdym względem służyć za wzór w odnośnej gałęzi. Rozwojowy czyli historyczny będzie gromadził okazy lub ich wizerunki, dające jasny obraz stopniowego rozwoju stylów i systematycznego ich po sobie następowania. Zgromadzenie zbiorów w tak różnych, a jednak koniecznych dla osiągnięcia zamierzonego celu kierunkach jest sprawą trudną i o tyle tylko do urzeczywistnienia możliwą, o ile ogół naszego społeczeństwa, pojmując ważność tego zadania, przyjdzie z pomocą. O pomoc tę komitet uprasza w formie ofiar pieniężnych lub darów, czy też pożyczki okazów, odpowiadających powyżej określonym kierunkom wytwórczym. Przedmioty pożyczone Muzeum rzemiosł mogą mu być powierzone na czas krótszy lub dłuższy, z góry określony; przyczem Muzeum bierze na siebie wszelkie koszta przeniesienia, ubezpieczenia i dozorowania tych okazów.“

Pragnący zadość uczynić temu wezwaniu i wogóle poprzeć instytucyę zasięgnąć mogą szczególnych wskazówek u jej sekretarza (Muzeum przem. i roln., Krakowskie przedmieście 66).

Teatr.

„Stryj Sam,“ komedya Sardou, święcił w zeszłym tygodniu odrazu dwie uroczystości, pierwsze i srebrne zaślubiny ze sceną warszawską. Reżyserya nasza nosi w swem sumieniu ciężki wyrzut, gdy pamięta, że jest jakaś sztuka głośnego pisarza francuskiego, a zwłaszcza Sardou, której jeszcze u nas nie wystawiano. Więc chociaż po 25 latach winę tę zmazano. Autor „Stryja Sama“ zbyt jest zręcznym i pomysłowym twórcą efektów teatralnych, ażeby jakąkolwiek osnowę sfuszerował pod tym względem i nie podobał się mieszczańskim widzom i słuchaczom. Ośmieszanie dziwactw amerykańskich wyszło już dziś z mody, ale gdy to czyni majster, można go słuchać. Z własnej, czy z cudzej woli podjął on się tego przed ćwierć wiekiem, kiedy Paryżowi, Francyi, czy też tylko Napoleonowi chodziło o taką satyrę; obecnie Paryż i Francya tego nie chcą, Napoleona nie ma, wogóle znikły warunki, w których zrodziła się ta komedya, ale cóż to nam przeszkadza? Bawi — to dosyć.

Nie będziemy powtarzali jej treści — intryg, starć, romansów, całego pasma prawdopodobieństw i nieprawdopodobieństw, w których ludzie i obyczaje Nowego świata opłacają koszta humoru. Kto chce spędzić wieczór na płytkiej zabawie, niech sam się zapozna z historyą „Stryja Sama.“

Odpowiedź.

Odbieramy list następujący:

„*Kuryer codzienny* mocno się rozgniewał za moją uwagę, wydrukowaną w poprzednim numerze *Prawdy* co do zatajenia kolei potrzebującej dwu lekarzów. Twierdzi on, że „historyjka o lekarzu, który biegał od zarządu do zarządu,“ zamiast udać się wprost do niego, jest „co najmniej zmyśleniem“ i dodaje: „W całej tej sprawie *Kuryer* odegrał rolę, jaką dzienniki europejskie odgrywają codzień.“ Skoro już zdradziłem zupełną nieznajomość zwyczajów prasy wszechświatowej, niech upokorzonemu *Kuryer* zechce łaskawie: 1) przytoczyć bodaj jeden wypadek, w którym by jakieś poważne i niezależne pismo wzywało do siebie lekarzów dla wskazania im pod sekretem posad na kolejach, i 2) objaśnić mnie, jakie pobudki i względy wywołują i usprawiedliwiają to tajemnicze pośrednictwo. Zdaje mi się, że nie wymagam od *Kuryera* zbyt wiele, skoro taką rolę „dzienniki europejskie odgrywają *codzień*.“ *Rom.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

ZE STOSUNKÓW ROLNYCH.

I.

Wymagania junkrów niemieckich. — Upaństwowienie handlu zbożowego i stworzenie państwowej pomocy „ringom“ rolnym. — Krytyka Meyera. — Znaczenie elewatorów społeczne i dokąd one pchają handel zbożowy.

Leży przed nami stos broszur i artykułów, oraz książek, poświęconych zbadaniu tych lub innych stosunków, jakie zwolna, ale nieodwołalnie powstają w dziedzinie gospodarstwa rolnego. Z tego mnóstwa wybierzemy na teraz kilka, mianowicie te, które podnoszą zagadnienia pierwszorzędne, a przytem są albo zupełnie nieznane naszej publiczności, lub też bardzo mało. Niemcy, dzięki systematycznemu podnoszeniu sprawy pośredników zbożowych, zwracają naszą uwagę na zmiany, zachodzące w ukształtowaniu handlu zbożowego; Anglia znowu pozwala nam zaznajomić się z innym, niemniej doniosłym objawem chwili obecnej, z wciąż wzrastającem wyludnianiem się okolic wiejskich. Z góry przytem winniśmy nadmienić, że w poniższych wywodach nie będzie nam szło o wyczerpanie danej kwestyi, tylko o rzucenie światła na kilka punktów.

Czasy Bismarkowskie pozostawiły po sobie w Niemczech spuściznę nader uciążliwą dla mas ludowych, ale bardzo dogodną dla ziemian większych — cła rolne. Atoli żywioły junkierskie bynajmniej nie są z tego zadowolone; chciałyby jeszcze czegoś więcej, podnoszą więc hasło inne, zachodzące bardzo daleko. Jeżeli całą politykę celną zbożową Niemiec można uważać za wtrącenie się państwa do spraw ekonomicznych dla zapewnienia ziemianom pewniejszej renty gruntowej, to głosy, dające się od niejakiego czasu słyszeć z tej strony, zwłaszcza w łamach *Gazety krzyżowej*, pożądają jeszcze czegoś więcej — zamienienia państwa na olbrzymią organizacyę handlową i pośredniczącą, któraby miała na widoku dobrą sprzedaż zboża i wyzyskiwanie w ten sposób całego społeczeństwa na korzyść producentów rolnych. Cła bowiem, chociaż stanowią bardzo poważną przeszkodę dla dowozu zboża z zagranicy, zgoła jednak nie znoszą go, a tem samem nie usuwają współzawodników amerykańskich, zmuszających ziemian niemieckich do zniżenia na rynku swoich wymagań i do sprzedawania płodów ziemnych po cenie o wiele niższej, niż bez owej konkurencyi. Projekty tedy warstwy ziemiańskiej zmierzają do tego, ażeby przy pomocy maszyny państwowej znieść zupełnie wszystkie „niemiłe“ skutki dowozu. Żądają one, ażeby „upaństwowiono“ handel zbożowy, co w gruncie sprowadza się do tego, żeby państwo wzięło w swe ręce zakup zboża zagranicznego, samo je przywoziło do kraju i sprzedawało po cenie z góry wyznaczonej ale takiej, która nie stwarzałaby dla ziemian konkurencyi. Inne zboże nie miałoby wstępu. *Gazeta krzyżowa* stawia dla przykładu cenę 190 marek za tonnę żyta i 210 pszenicy! Jednym więc zamachem stworzonoby istotny monopol ziemiański. Zresztą nie wszyscy posuwają się tak daleko; większość poprzestaje na wymaganiach o wiele skromniejszych, mianowicie, żeby państwo stało się bankierem rolników. Powinno ono wznieść w kraju odpowiednią liczbę elewatorów. Naturalnie jądro tkwi nie w urządzeniu tych budynków, ale w tem, czemu one winny służyć— wydawaniu odpowiednich zaliczek, tak, iż obywatele ziemscy nie będą potrzebowali natychmiast spieniężać produktu, ale zdołają oczekiwać przyjaźniejszego dla siebie ukształtowania rynków. „Podniesienie cen zboża — czytamy w broszurze Grass-Klanina — może nastąpić tylko wskutek przymusu, oddziaływającego na spożywców za pomocą powstrzymania zaofiarowań ze strony producentów rolnych; w tym celu potrzebujemy urządzeń, które zwolniłyby zaofiarowanie z uciskających je więzów. Urządzeń tych zdoła nam jedynie dostarczyć państwo, organizując w sposób odpowiedni koleje żelazne.“

W naszych czasopismach rolniczych, zresztą nieudolnie krzątających się około dobra swoich chlebodawców, odzywają się częściowo te same głosy i z tych samych pobudek. Warto posłuchać, co o podobnych pragnieniach mówi Rudolf Meyer. Osobistość to znana każdemu, kto tylko zajmował się sprawą amerykańskiej konkurencyi zbożowej oraz drobnej własności. Jeden z wybitnych przedstawicieli obozu zachowawczego, lecz przytem człowiek uczciwy, wystąpił swego czasu nader ostro przeciwko polityce „pozytywno - społecznej“ księcia żelaznego, piętnując ją jako szwindel, obliczony jedynie na chwilę bieżącą. Skutkiem tego musiał był opuścić Niemcy; dzisiaj siedzi jako fermer w Kanadzie i jednocześnie prowadzi tam dalej swoje studya ekonomiczne. Otóż poddał on krytyce „upaństwowienie“ handlu zbożowego, bez żadnej litości odsłaniając wszystkie pobudki samolubno-klasowe, które kierują projektodawcami junkierskimi. Rozpoczyna od przypomnienia im przeszłowiekowej praktyki we Francyi. Dzięki zabiegom pe-

wnej kliki finansistów, powołano w r. 1792 na lat dwanaście do życia regalię zbożową: pośrednicy zostali usunięci, a państwo samo objęło handel zbożem. Ponieważ zaś brakło mu niezbędnych środków pieniężnych, przeto wydzierżawiło ono prawa swoje pewnej liczbie osób. Regalia po upływie każdych lat 12 wciąż bywała przedłużana. Banda dzierżawców-finansistów dbała naturalnie jedynie o swoje korzyści, a owocem tego były niepomiernie wysokie ceny zboża i wzrastające oburzenie wśród tłumów, które ów układ ochrzciły wymownem imieniem *pacte de famine*. Turgot, a następnie Neker utracili swoje stanowiska tylko przez to, iż usiłowali znieść to robienie majątku przez finansistów na głodzie ludu. Nazajutrz po usunięciu Nekera przedłużono „umowę głodową,“ w trzy dni później padła Bastylia, a głowy osób, które głównie przyczyniły się do utrzymania regalii, zatknięto na pikach. Tak zakończyła się więcej niż półwiekowa próba upaństwowienia handlu zbożowego w celach fiskalnych. Otóż junkrzy niemieccy, niepomni doświadczenia dziejowego, chcieliby wepchnąć państwo na tę samą drogę. Zdoła ono zmonopolizować bez złych dla siebie następstw handel zbożowy tylko pod jednym warunkiem, mianowicie że nie będzie dbało o interesy rolnicze i wyszrubowywanie możliwie wysokie cen zboża dla przysporzenia dochodów obywatelom ziemskim, lecz przeciwnie postara się o to, ażeby swoją konkurencyą zniżyć stawiane przez nich wymagania i w ten sposób przyjść z pomocą tłumom spożywców, jak tego wymagają szwajcarskie partye ludowo-miejskie w swoim programie. Również wszystkie westchnienia ze strony producentów zboża w kierunku elewatorów wynikają nie z innej pobudki, i tutaj państwo winno pospieszyć im ze swoją pomocą i współdziałać w przysporzeniu im renty a ogłodzeniu spożywców. Pragną oni za pośrednictwem elewatorów regulować stan rynku zbożowego, powstrzymać nadmierny dowóz i podnosić ceny na swoją korzyść, słowem, stworzyć takie same „ringi“ i syndykaty w zakresie zboża, jakie istnieją już w innych gałęziach przemysłu. Rzecz charakterystyczna, jak przejęcie się własnym interesem zaślepia ludziom oczy i mąci ich poglądy. W nawoływaniu państwa przeciwko zmowom ze strony właścicieli kopalni węgla, producentów cukru itd. głosy ziemiańskie dają się słyszeć bardzo mocno, a tymczasem kiedy chodzi o ich kieszeń, zapominają o swojem niedawnem oburzeniu i wymagają, ażeby państwo, które winno ich zdaniem tępić i pociągać do odpowiedzialności tego rodzaju spiskowców przeciwko ogółowi spożywczemu, organizowało takie same spiski względem zboża lub dopomagało w doprowadzeniu ich do skutku.

Występując wszakże przeciwko samolubnym pragnieniom ziemian niemieckich i wykazując istotne ich pobudki, R. Meyer sądzi, że elewatory i upaństwowienie handlu zbożowego są koniecznością dziejową, której godzina już bić zaczyna. Póki wymiana zbożowa była drobną i nie wybiegała po za sąsiednie miasteczko, właściciel ziemski nie dbał o elewatory, posiadał własny śpichlerz i przechowywał w nim zboże, podobnie jak zawsze miał własną piekarnię dworską. Ale z ukazaniem się rozgałęzionych a tanich nowoczesnych środków komunikacyjnych i wraz z równolegle idącym rozwojem stosunków wymiennych, dawny stan rzeczy zwolna ulega zmianie i nowe wzory ukazują się w życiu. Naprzód zniknęła z folwarku piekarnia, teraz kolej przyszła na śpichlerze. Wszędzie, w każdem przedsiębiorstwie, dzięki warunkom technicznym, zarówno w dziedzinie produkcyi, jak i wymiany, potrzebny jest olbrzymi kapitał. Równocześnie pojedynczy posiadacz prywatny schodzi z pola, a natomiast występuje bezimienna spółka bezczynnych kapitalistów pod postacią towarzystwa akcyjnego. W r. 1813 w Anglii własność imienno-indywidualna wszelakiej postaci przyniosła ogółem dochodu 123 milionów funt. sterl., ta zaś, która już zatraciła cechy osobiste, tylko 41; w 1868 z pierwszego źródła otrzymano w tym samym kraju 282, z drugiego zaś 105 mil.; w r. 1880 dochody indywidualne prywatne wyniosły 344, z towarzystw zaś akcyjnych i innych nieimiennych źródeł 217 mil. Jeżeli te liczby porównamy z sobą, okaże się, iż własność indywidualno-prywatna stale zanika we względnym swoim rozmiarze, lubo wzrasta bezwzględnie i ustępuje miejsca prywatno-zbiorowej, a rozwój ten wyglądałby jeszcze okazalej, gdyby zwrócono i na to uwagę, iż np. majątek ziemski, obciążony długami hipotecznymi, bynajmniej nie jest już własnością pojedynczej osoby, lecz w istocie rzeczy znajduje się w posiadaniu zbiorowem. Listy zastawne, będące tylko uruchomieniem ziemi, sprawiają, iż majątek zastawiony należy do mnóstwa osób, a właściciel jest tylko rodzajem dyrektora, znajdującego się pod kontrolą władz — Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Nawet samo państwo staje się taką własnością zbiorową, gdyż renty państwowe są tylko świadectwami takich praw. Elewatory stanowią właśnie jeden z etapów na drodze wyzucia handlu zbożowego z pęt kapitału indywidualno - prywatnego. Nie dość tego, są one jeszcze czemś więcej, wkraczają bowiem na terytoryum samego folwarku, niszczą indywidualno-prywatne urządzenie, jakiem jest śpichlerz i zbyt liczne stodoły, oddając je bezimiennej spółce zbiorowej akcyonaryuszów, a przytem rozrywając ich dotychczas organiczny związek z przedsiębiorstwem rolnem. Elewator, zniósłszy staroświeckie śpichlerze i zmniejszywszy rozmiary stodół, a gdzieniegdzie, jak to zaraz zobaczymy, unicestwiwszy je zupełnie, na majątku ziemskim pozostawia jedynie dom pański i zabudowania robocze i obory; a ponieważ spółki akcyjne zaczynają ukazywać się i w gospodarstwie rolnem, a miejsce imiennego „pana“ zastępuje bezimienny posiadacz akcyi, która, przechodząc z rąk do rąk, może codziennie zmieniać właściciela, nie potrzebującego nawet wiedzieć, gdzie znajduje się jego majątek, przeto wszystko sprowadza się do obór i domów najemniczych różnej kategoryi. Rozwój w tym kierunku posunął się najdalej w Ameryce północnej. W Kanadzie np. w okolicach bardziej zaludnionych nigdy na folwarkach niema już śpichlerzy. Wogóle stosunki są tutaj nader charakterystyczne, nawet w zakresie drobnej produkcyi rolnej. Pewna liczba sąsiadujących z sobą fermerów łączy się w odpowiednie związki i buduje wspólny śpichlerz, będący stacyą pośrednią na drodze do elewatorów w miastach portowych, czasem znowu czyni to towarzystwo kolei żelaznych lub jakaś inna spółka akcyjna. Powstaje szereg mniejszych i większych śpichlerzów i elewatorów, a każdy z nich jest skupieniem mnóstwa starodawnych prywatnych. Drobny fermer młóci zboże za pomocą maszyny parowej, którą wynajmuje u przedsiębiorcy. W Kanadzie łączy się ich zwykle w tym celu 12—15. Kiedy jeden młóci, inni stają bezpłatnie do pomocy — jeden zwozi zboże, drugi zajmuje się inną, trzeci jeszcze inną czynnością. Potem wszyscy udają się do następnego itd. Ten, u którego zebrała się do pomocy cała spółka, nic nie daje krom strawy. Koszta takiego młócenia są bardzo nizkie, wynoszą bowiem około 2—3 centów za buszel. Zboże młócą na polu i tutaj pozostawiają, otoczywszy miejsce rowami i zabezpieczywszy ziarno zapomocą płótna nieprzemakalnego, dopóki nie zostanie odwiezione do sąsiedniego elewatora. Stodoły też są zbyteczne; koniczyna, owies, potrzebne dla bydła leżą w stodołach. Zboże, odstawiane do elewatorów, zostaje sortowane i pomieszane z innem, a właściciel otrzymuje kwit odpowiedni. Jest on właścicielem pewnej ilości, ale nie ze swego pola — któż bowiem zdoła wyszukać jego ziaren wśród milionów obcych! Otrzymany dowód krąży jako pieniądz i zboże zmieniać może właściciela co godzina. Słowem śpichlerz ulotnił się z gospodarstwa. Dochodzi do tego, iż nie pozostawiają nawet zboża do zasiewów, ale biorą je z elewatorów, byleby nie posiadać w majątku budynków!

Elewatory amerykańskie znajdują się dzisiaj w ręku monopolistów, którzy umieją wyzyskać swoje położenie i dają się we znaki fermerom. Te też śród tych ostatnich ujawnia się chęć upaństwowienia elewatorów. Chociaż jednak z pozoru brzmi ona jednako z wymaganiami ziemian niemieckich, w gruncie rzeczy jest czemś odmiennem. Junkrzy chcieliby znaleźć w elewatorach państwowych i w zaliczkach podstawę dla „ringów“ zbożowych, fermerom amerykańskim idzie zaś o zniesienie monopolów, utrudniających składanie zboża. Państwo będzie pobierało taksę według kosztów i wydawało kwity — nic więcej. Tu chodzi tylko o upaństwowienie śpichlerzów, nie zaś o wyzysk społeczności. W każdym razie do elewatorów należy przyszłość. Atoli skoro raz urządzenia te zostaną wcielone w życie, wywołują zmiany dalsze. Państwo, posiadając własne składy zbożowe, może porzucić dzisiejszy system pobierania podatków wiejskich w pieniądzu, a otrzymywać je w zbożu. Nie dość tego. Jeżeli u steru rządu staną grupy ludowe, a nawet kapitalistyczno-miejskie, państwo, posiadając własne śpichlerze i zapasy zboża, może rzucić się na drogę systematycznej konkurencyi przeciwko ziemianom, mając w ręku środek do wydziedziczenia ich i objęcia produkcyi rolnej. Junkrzy bawią się orężem dwusiecznym. Przygotowują swemi żądaniami grunt pod upaństwowienie handlu zbożowego, ale zapominają, że z chwilą, kiedy maszyną państwową kierować będą żywioły im wrogie, ów ideał stanie się ich zgubą, wreszcie że po za elewatorami państwowymi widnieje upaństwowienie produkcyi rolnej.

K. R. Ż.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Jarmark na chmiel. Dnia 25 września r. b. rozpocznie się w Warszawie pięciodniowy jarmark na chmiel. Odbędzie się przy magazynach bankowych na ulicy Nowogrodzkiej. Oprócz opłat ustanowionych przez Bank państwa, będzie pobierana na rzecz kasy miejskiej opłata po 2 kop. od puda chmielu. Bezpośrednie zawiadowanie jarmarkiem jest powierzone deputacyi jarmarcznej pod przewodnictwem prezydenta miasta. Do składu deputacyi wchodzi, prócz urzędników magistratu, sześciu wybitniejszych plantatorów chmielu, kupców lub przemysłowców. Na czas jarmarku będą ustanowieni meklerzy przysięgli.

— Dodatkowa akcyza po 40 kop. od puda będzie pobierana od d. 13 września r. b. od całej ilości cukru rafinowanego, idącego na handel wewnętrzny.

— Zwyżka cen cukru jest przedmiotem wielu artykułów w prasie ruskiej. *Kijewlanin* niemal codziennie przywołuje do porządku i upamiętania się pp. cukrowników, nie przebierających w środkach, byle ceny cukru na rynkach krajowych coraz to bardziej podnosić. Niedawno znów zabrały głos w tej sprawie *St. Pet. Wiedomosti*. Koniecznem jest — pisze ten dziennik — przedsięwzięcie środków stanowczych w celu wyswobodzenia plantatorów buraków i spożywców cukru z matni fabrykantów. Cena cukru w ciągu roku podniosła się prawie o 17%, bez żadnych poważniejszych przyczyn. Nawet na karb nieurodzaju buraków zjawiska tego zwalać nie można, gdyż pomimo jakoby nieosobliwego

stanu plantacyj, znaczne partye buraków są wywożone za granicę.

Urodzaje w gub. południowo-zachodnich są rozmaite; najlepsze w pow. łuckim gub. wołyńskiej; w pow. żytomierskim są już znacznie gorsze. W pow. wasylkowskim, radomskim, czerkaskim oziminy są wypalone przez słońce; w pow. humańskim klęska jest zupełna: przez maj i czerwiec były tylko dwa deszcze; lepszy urodzaj jest w pow. berdyczowskim, kaniowskim i taraszczańskim. Buraki ogólnie chybiły; mniejsze cukrownie będą musiały zawiesić całkowicie czynności z powodu braku materyału do przetworn. Rąk roboczych było dosyć i taniej niż zwykle. Na targach zbożowych zastój ogólny. Z poprzedniego zbioru pozostało jeszcze dużo zapasu, na który kupców nie ma. W składach w Mikołajewie znajduje się obecnie około 2 mil. pud. pszenicy do zbycia, a w Odesie około 3 mil. Ceny cukru w Kijowie wynosiły d. 20 z. m. rs. 6.50 za pud pierwszego gatunku, rs. 6.40 drugiego i rs. 6.15 za mączkę. W sprzedaży detalicznej cukier dochodzi do 20 kop. za funt. Kupcy głoszą, że cena ta we dwójnasób się zwiększy, pomimo zapasów z lat poprzednich.

— Warszawscy przedsiębiorcy budowlani sprowadzili na próbę transport granitu austryackiego.

— Pp. Jerzy Dyliński, Karol Majewski i St. Wolff utworzyli spółkę eksploatacyi materyałów drzewnych, ze znacznym kapitałem.

— Tegoroczny urodzaj pszenicy we Francyi obliczają na 98—105 milionów hektolitrów; w r. z. wyniósł on tylko 82 mil. hektolitrów. Średni zbiór pszenicy we Francyi w ostatnich latach wynosił około 105 mil. hktl.

— Warszawską fabrykę akcyjną machin i narzędzi rolniczych nabył p. Leon Blazy, prezes syndykatu wełny w Paryżu.

Z rynku.

Targi zbożowe. Warszawa, 30 lipca. Dowozy zboża na targ Witkowskiego, z początku zeszłego tygodnia małe, następnie się zwiększyły i rynek się ożywił. Zjawiła się już pszenica nowa krajowa, którą chętniej niż ruską nabywano. Usposobienie wogóle było dobre, ceny pszenicy mało zmienione; żyto zyskało 10 kop. na korcu w porównaniu z tygodniem poprzednim. Tranzakcye zawierano łatwo na potrzeby miejscowe do młynów parowych i wiatraków.—Przed kilku dniami zjawiło się nowe żyto; płacono za nie w gatunkach wyborowych rs. 5—5,25 kop., za średnie 4,65—4,80. Ceny pszenicy: wyborowa 830—855, biała 8—8,30, pstra i dobra 765; ow.ies wyborowy 285—365; gryka 540—560; groch polny 8—9 rs., cukrowy 9—10, fasola 10—11; kasza jaglana 110—138. — Dnia 3 b. m. płacono: pszenica biała 780—800, wyborowa 810—830; żyto wyborowe 510—530, średnie 435—465, wadliwe 420; owies 285—335. Dowieziono pszenicy 200 korcy, żyta 800, owsa 100.

Na targu prazkim ubiegły tydzień przeszedł bez zmiany znaczniejszej; zapasy i dowozy małe. Pszenicę nabywano chętnie w dobrych i średnich gatunkach; wyborowa 131—140, średnia 122—127, ruska czerwona 117—130. Zwyżkowa tendencya dla żyta w pierwszych dniach tygodnia, następnie osłabła wskutek dowozów na plac Witkowskiego; wyborowe nowe 101—105, stare 98—100, średnie 93—96, ruskie 91—97. Ceny jęczmienia spadły, owsa podniosły się (wyborowy 98—102, średni 94—96, ordynaryjny czarny 85—89). Grykę nadeszłą w niewielkiej ilości rozkupiono po 118 za pud. Kukurydza 70.

Łódź, 3 sierpnia. Na targach łódzkich owies wciąż poszukiwany. Od piątku sprzedano 2,500 korcy po cenach bez zmiany. Popyt na pszenicę i żyto słaby.

Rzepak. Zagraniczne rynki notują dalszą zniżkę cen, wobec czego wywozowcy nasi z zakupami się powstrzymują, gdyż ceny, żądane przez rolników i kupców prowincyonalnych, nie dają rachunku. Ceny Gdańska, dokąd głównie większa część naszego rzepaku wychodzi, wynoszą dziś tutaj około 7 rs. za korzec, a w początku kampanii płacono u nas około 8 rs.; posiadacze towaru zatem wyczekują poprawy. Olejarnie krajowe podobno ofiarują za zupełnie suchy towar 7,50—8 za korzec z dostawą do fabryk.

Ceny okowity. Warszawa, 3 sierpnia. Brutto z potrąceniem 2%: hurtowa w. 100^0—$10,96^{15}$, w. 78^0—8,55, szynkowa w. 100^0—$11,11^{15}$, w. 78^0—$8,66^5$; netto bez potrącenia: hurtowa w. 100^0—$10,74^3$, w. 78^0—$7,37^9$, szynkowa w. 100^0—10,89, w. 78^0—$8,49^3$.

Giełda. Warszawa, 3 sierpnia. Po długotrwałem wahaniu zwyżka waluty ustalać się zdaje. Zaznaczają to poranne depesze i przytaczają jako powód słabnącą epidemię, oraz rokowania o traktat handlowy. Szacowania berlińskie zapowiadają kurs 206, a Petersburg również nadesłał lepszy kurs, sięgający 9,92½. Z tem wszystkiem były waluty u nas stosunkowo drogie, bo od 48.60 do 75 za wpłatowy i 48.55—65 za ultymowy Berlin, głównie z przyczyny niedopisującej podaży. Żądano zaś za Berlin 48.80, za Paryż 39.55, za Londyn 8.89 i za Wiedeń 83.25. Za kupony celne 158¾.

PRASA RUSKA.

Wołga podaje następujące dwie odezwy gubernatora niższo - nowogrodzkiego, gen. Baranowa:

„Razem z wielu pięknymi przymiotami, mieszkańcy Niższego Nowogrodu łączą w sobie i pewne wady, które w zwykłych czasach wywołują współczucie i pogardę, ale w tak ostrych warunkach, jakie przeżywamy obecnie, nie mogą pozostawać bez zwrócenia uwagi. Mówię tu o nieszczęsnej manii pisania anonimów, których treść zawiera wymysły, pogróżki mordów, pożogi i buntów.

W tych dniach poczta roznosi masę kopert, zawierających między innemi i rzeczone elaboraty. Bardzo wiele z nich adresowano do mnie.

Za przesyłkę pocztą pogróżek mnie osobiście składam dzięki ich autorom, którzy przysparzają dochodu skarbowi, kupując marki pocztowe. Ale wiele takich pogróżek dostaje się do rąk obywateli miasta, członków miejskiego, jarmarcznego i giełdowego zarządu, a co gorsza, osobom przysłanym tu w celach służby i ochotnikom, pomagającym nam w strasznej walce z cholerą: doktorom, siostrom miłosierdzia i innym.

Ojczyzna szlachetnego Minina, czczonego przez całą Rosyę za jego miłość dla Tronów: Bożego i Cesarskiego, i sławy ojczyzny, nie może być areną działalności bandy warchołów. Ale nie wszyscy rozumieją to jasno i nie traktują tak, jakby należało, nikczemnych, bezimiennych, podziemnych pogróżek.

Ogłaszam, że ani jednego człowieka z pozostających na służbie nie zatrudnię poszukiwaniem złoczyńców, piszących anonimy.

Jeżeli, broń Boże, gdziekolwiekbądź, korzystając z głupoty i łatwowierności ciemnego ludu, uda się komukolwiek naruszyć spokój, przywrócę go przy pomocy znajdującej się w mojem rozporządzeniu siły wojskowej; przywódców i podżegaczy niezwłocznie i na miejscu powieszę, a uczestnicy surowo, w oczach wszystkich będą ukarani.

Ci, którzy mnie znają, uwierzą, że wykonam, co obiecuję.

Wzywam wszystkich zagrożonych, aby byli spokojni i kontynuowali swoją korzystną działalność, nie troszcząc się o swoje bezpieczeństwo. Tę troskę Panujący na mnie włożył."

Druga odezwa brzmi:

„Dziś, dnia 10 (22) czerwca, na stacyi do przyjmowania chorych na przystani syberyjskiej ciśnięto wielkim kamieniem w barak z desek, służący za miejsce odpoczynku dla mniszek w chwilach wolnych od czytania psalmów nad zmarłymi. Uderzenie było tak silne, że oderwała się z gwoździa jedna deska w baraku i wypadła rama z okna. Odpoczywająca mniszka, która dopiero co ukończyła swą służbę w izbie nieboszczyków, doznała, chwała Bogu, tylko przestrachu.

Łotr, który rzucił kamień, ukrył się, dzięki ciemnościom nocy, w krzakach jeziora Barancewa. Rad jestem z tego, gdyż przed wydaniem pomienionego wyżej ostrzeżenia, miałbym pewne skrupuły z powieszeniem nikczemnika na miejscu przestępstwa i należałoby zastosować do niego środki zbyt delikatne, nieodpowiednie bluźnierczemu jego przestępstwu. Od jutra zaś uważać się będę za zupełnie wolnego od wszelkich skrupułów w razie powtórzenia się podłego przestępstwa powyższego, niegodnego ani chrześcianina, ani ruskiego."

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Warsz. Dniewn. pisze: „W d. 16-ym lipca w kopalni węgla kamiennego „Ludwik," stanowiącej własność Towarzystwa górniczo-przemysłowego „Hrabia Renard," a położonej we wsi Sielce, gminie Góra, w powiecie będzińskim, 70-ciu robotników, znajdujących się pod kierownictwem jednego ze sztygarów, nie stawiło się do roboty, wygłaszając niezadowolenie z tego sztygara skutkiem nieprawidłowego wypłacania im zarobionych pieniędzy. Po sprawdzeniu pretensyj robotników okazało się, że istotnie nie otrzymali oni w całości należnej im zapłaty, ale że to wynikło z winy samych robotników, którzy nie zgłaszali się we właściwym czasie dla sprawdzenia i zapisania wykonanych przez nich robót; pretensye, które okazały się uzasadnionemi, zostały zaspokojone. Przytem jednak zarząd kopalni uwolnił 30-tu robotników, którzy wogóle domagali się podwyższenia płacy zarobkowej; pozostali 19-go lipca przystąpili do swoich zajęć. Tego samego dnia w kopalni „Andrzej," należącej do tego samego Towarzystwa górniczo-przemysłowego, a położonej we wsi Strzeżewice, gminie Bobrowniki, około 50-ciu robotników, niezadowolonych z tego samego sztygara, nie stawiło się do roboty nocnej; ale już 18-go lipca robotnicy ci rozmyślili się i wzięli się ponownie do zajęć. W d. 20-ym lipca w kopalni „Flora," położonej we wsi Gołonogu, w powiecie będzińskim, a stanowiącej własność austryackiego „Länderbanku" i zatrudniającej około 500 robotników, około połowy z nich, niezadowoleni ze swojego wynagrodzenia, nie stawili się do roboty. W d. 22-im lipca 25-ciu z nich powróciło do zajęć, pozostali zaś przyrzekli przystąpić do roboty w d. 25-ym lipca. Wogóle zaś przez czas zawieszenia robót robotnicy zachowywali się spokojnie, nie dopuszczali się żadnych zawichrzeń i spełniali wszelkie rozporządzenia policyi miejscowej, zmierzające do utrzymania porządku. Dla zbadania przyczyn zawieszenia robót prowadzone jest śledztwo policyjne."

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Jak donosi *Warsz. Dniew.*, dnia 22-go z. m. wybuchły w Hrubieszowie zamieszki wśród tamtejszej ludności żydowskiej z powodu zburzenia przez władze muru okalającego cmentarz żydowski, wzniesionego bez odpowiedniego pozwolenia i niewiadomo za czyje pieniądze. Tłum żydów rozpędził kamieniami robotników, burzących mur, a następnie około 2,000 żydów zebrało się przed urzędem powiatowym, krzycząc i narzekając, że burzą cmentarz i mogiły ich ojców i dzieci, a podżegacze biegali po mieście, namawiając do zamykania sklepów i przyłączenia się do tłumu. Wszelako na przełożenie władzy tłum się rozszedł i wszystko wróciło do porządku. Sprawcami zamieszek byli dawni członkowie dozoru bóżniczego, cieszący się sympatyą tłumu, gdy tymczasem nowy dozór, mianowany w r. z. przez władze miejscowe, jest nielubiany i sam ukrywał się podczas zamieszek z obawy napaści,

— Od lat kilku daje się zauważyć na Mazurach pruskich kolonizacya niemiecka. Przeważnie osiadają tam chłopi z Saksonii, korzystając z taniości gruntów, które później racyonalnie uprawiają. Mazurzy natomiast emigrują na zachód Europy lub do Ameryki.

— Liczba polaków, mieszkających w Saratowie, wynosi około 800; liczbę tę powiększyli przed parą miesięcy inżynierowie i technicy, zajęci przy budowie dr. żel. uralskiej. Łączności pomiędzy nimi niewiele; nawet bal doroczny bywa źródłem coraz to nowych plotek i nieporozumień.

— Konsulem generalnym niemieckim w Warszawie został dotychczasowy radca legacyi niemieckiej w Sofii, baron Wangenheim.

— W Kołomyi około 400 robotników tkackich, wyrabiających „tałesy" (okrycia żydów podczas modlitwy) urządziło bezrobocie, z powodu wyzysku fabrykantów. Domagają się podwyższenia płacy i zmniejszenia godzin pracy. Dnia 29-go z. m. aresztowano 3 kierowników bezrobocia; reszta tem oburzona, zniszczyła jeden z głównych budynków fabrycznych.

— *Praw. Wiest.* ogłosił już zezwolenie, dane towarzystwu akcyjnemu pod nazwą „Asocyacya kolonizacyjna żydowska," na rozpoczęcie swych czynności w państwie.

— *Prawit. Wiest.* donosi, że w obec wynikłych trudności przy stosowaniu prawa z r. 1888 o ochronie lasów w gub. południowych i zachodnich, komitet ministrów postanowił, aby w gub. kijowskiej, podolskiej, wołyńskiej, wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, oraz w pow. rzeczyckim, luceńskim i dryseńskim gub. witebskiej wolno było posiadaczom służebności pasać bydło w zagajnikach, nie mających lat 15-tu, z warunkiem, aby w lasach iglastych oddzielono przynajmniej 1/4, a w liściastych 1/3 obszaru, wolnego od służebności.

— Zgromadzenie drukarzy w ostatnim roku sprawozdawczym wydało na leczenie swych członków, pogrzeby, wsparcia itp. 1951 rs.; na r. b. pozostało funduszu wsparć i zapomóg 6,623 rs. Z funduszu na opłaty szkolne wydano 596 rs., pozostało 1,103 rs. Z kasy pożyczkowej wydano w r. b. 711 rs., pozostało w kasie 213 rs.; ogółem fundusz ten, rachując z pożyczonemi poprzednio kwotami, wynosi 2,136 rs. Fundusz ogólny zgromadzenia wynosi 10,980 rs. W ciągu roku zapisano 48 uczniów, wypisano na towarzyszów 26. Do zgromadzenia należy: 39 drukarń w Warszawie, 10 z prowincyi i 2 odlewnie czcionek.

— Od dnia 13 czerwca r. b. do 13 b. m., wyemigrowało z pow. kolneńskiego i mazowieckiego do Ameryki 80 osób, w tej liczbie 5 kobiet, a 2 starozakonnych. Wychodźcy liczyli przeważnie od 20 do 40 lat wieku.

— W Ciechocinku przy urzędzie pocztowo-telegraficznym urządzono kasę oszczędności.

— Na zapytanie kandydatów z Królestwa Polskiego na posady przy budującej się obecnie drodze żelaznej Syberyjskiej, nadeszła odpowiedź, że starania w tym kierunku są przedwczesne, gdyż przyjmowanie urzędników na służbę przy tej kolei nastąpi dopiero po jej ukończeniu.

— W Pensylwanii niedawno wybuchły rozruchy w fabrykach żelaza, skutkiem zmowy części robotników. Wezwano z New-Yorku 200 policyantów dla obrony warsztatów i robotników, którzy nie przystąpili do bezrobocia. W utarczce stronnictw robotniczych, oraz z policyą zginęło kilkunastu ludzi. Podobnież wybuchły rozruchy w stanie Idaho; 300 robotników aresztowano.

— Dyrekcya dr.-żel. Warsz.-Wiedeńskiej zapewniła przejazd bezpłatny do Skierniewic i z powrotem dla dzieci ewangelicko-augsburskiego domu sierot, które przygarnęła na 6 tygodni p. Dillenlusowa w majątku swym Tatary.

— Komitet kolonij letnich w Poznaniu wysłał na wieś w r. b. 470 dzieci, oraz miała być wysłana druga taka sama partya.

Szkoły. Ministeryum oświecenia wydało rozporządzenie, aby zajęcia szkolne i egzamina we wszystkich zakładach naukowych były rozpoczęte dopiero dnia 13 września, a na wydziałach lekarskich dnia 13 listopada r. b.

Sprawy kolejowe. Według informacyj *Graždanina*, droga żel. siedlecko-małkińska będzie oddana w administracyę głównemu towarzystwu kolei ruskich, a brzesko chełmska towarzystwu dróg południowo zachodnich.

— *Warsz. Dniew.* donosi, iż podczas nieobecności p. S. Wittego, ministeryum komunikacyj będzie zarządzał gen. Petrow, gdyż pomocnik ministra również odbywa obecnie podróż rewizyjną i wróci dopiero w połowie b. m. Podróż jego do Mohylowa i innych miast, jak pisze korespondent petersburski wymienionego dziennika, będzie miała nader ważne skutki, albowiem sprowadzi liczne zmiany w zarządach komunikacyj szosowych i wodnych, z powodu wykrytych w nich nieporządków.

Sprawy prasowe. Dziennik *Russkaja Žizń* otrzymał pierwsze ostrzeżenie za nieodpowiedni wogóle kierunek pisma, oraz szerzenie wieści bezzasadnych a siejących postrach.

Zdrowie publiczne. *Gazeta policyjna* zawiadamia, iż z powodu zwiększenia się pracy lekarzy miejskich, mających obowiązek pilnego strzeżenia warunków sanitarnych w mieście naszem, celem uniknięcia epidemii, lekarzom tym wyznaczono wynagrodzenie w kwocie 100 rs. miesięcznie.

— Cholera w Persyi słabnie; w niektórych prowincyach tego kraju zupełnie wygasła.

— Na granicy austryackiej i pruskiej podróżni, przybywający ze wschodu, ulegają rewizyi sanitarnej; wagony sypialne kursują tylko do granicy. Po przybyciu do Berlina wagony i podróżni ponownie podlegają dezynfekcyi.

— W kilku fabrykach warszawskich urządzono umywalnie dla robotników, którzy udając się po pracy na obiad do domów, myją w tych umywalniach ręce w wodzie z lekkim roztworem sublimatu.

— *Gubern. Chark. Wiedom.* donoszą, że w nocy z dnia 24 na 25 z. m., w pociągu robotniczym, przybyłym z południa do Charkowa, około stacyi Borki pięciu robotników (z ogólnej liczby 287) zachorowało na cholerę.

— Księstwo Jerzy i Marya Radziwiłłowie postanowili wznieść własnym kosztem w Zarzeczu o wiorstę od Nieśwleża w gub. mińskiej szpital na 16 łóżek, oraz łożyć rocznie po 5,000 rs. na jego utrzymanie.

— W tych dniach wyszła w Warszawie broszura o środkach zapobiegawczych i leczniczych od cholery. Jest to przeróbka z podobnej broszury, wydanej w r. 1854 z rozporządzenia ówczesnego namiestnika Królestwa Polskiego. Przeróbki dokonali d-rowie Czausow i Troicki, a na język polski przełożył dr. Pawiński. Cena broszury 5 kop.

— Na naradzie dnia 22-go z. m., zwołanej przez naczelnika pow. warszawskiego, właściciele fabryk oświadczyli, że wszelkie środki sanitarne, zalecone przez komisye fabryczne, są już zastosowane, oddziały zaś choleryczne będą urządzone w ciągu dni ośmiu.

Pożar w osadzie Markuszew w pow. nowo-aleksandryjskim zniszczył kościół i 15 domów.

Etna wyrzuca wciąż wielkie kamienie; natomiast wypływ lawy zmniejsza się.

Zmarli. Antoni Narkiewicz Jodko, estetyk, w gub. wołyńskiej.

— Ludwik Karol Rojek, heraldyk, b. regent archiwum akt grodzkich, we Lwowie.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Ценаурою, Варшава 24 Іюля 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.